



ODGŁOSY

► LISTY MARII DĄBROWSKIEJ ► CZY PAŃSTWO LUBICIE DYSKUSJE — Lucyja Włodkowska ► PIOTRKOWSKIE SKARBY — Jerzy Starnawski ► KOGO REPREZENTUJE GEN. de SPINOLA? — Jerzy Czech ► WIERSZE Jerzego Wilmańskiego ► MOJE WALKIRIE — Tomasz Kiesewetter ► MISTRZOWIE I DOKTORANCI — Witold Słotwiński ► TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO — Andrzej Blajer ► TEN, KTÓRY CZEKA — Ray Brudbury ► ARRIGIO BOITO, GIUSEPPE VERDI I POLACY — Andrzej F. Grabski ► I TY ZOSTANIESZ EDISONEM — Stanisław Bąkowicz ► STARY — Andrzej Grun ► RZECZ O SZLIFOWANIU DIAMENTÓW — Konrad Frejdlch ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI ► SEX W LITERATURZE ►

JAN POWAŁA

KIERUNEK BERLIN

Działania bojowe jednostek ludowego Wojska Polskiego w operacji berlińskiej i bitwie o Berlin uwieczniły wspaniałym zwycięstwem wysiłek zbrojny narodu polskiego w walce z hitlerowskim najeźdźcą. Krwawe zmagania 1 i 2 armii WP oraz oddziałów i związków taktycznych odwodu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego w kwietniu i maju 1945 r. stanowią ewidentny i wymierny wkład zbrojny Polski jako członka koalicji antyhitlerowskiej w ostateczne rozbitcie hitlerowskich Niemiec.



W dziejach oręża polskiego wydarzenia te zasługują na szczególne wyróżnienie i pamięć, gdyż posiadają one wyjątkowo duże znaczenie wojskowe, moralne i polityczne. Udział jednostek ludowego Wojska Polskiego w walkach poza granicami kraju — na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz w szturmie Berlina — na bezspornie można określić jako akt sprawiedliwości dziejowej. Naród polski, który we wrześniu 1939 r. pierwszy w Europie przeciwstawił się zbrojnie hitlerowskiej agresji, po prawie sześciu latach ciężkich zmaganiach zwycięsko zakończył swoją wojnę wyzwolenczą na terytorium wroga i w jego stolicy. Poważny wkład ludowego Wojska Polskiego w pokonaniu Trzeciej Rzeszy i zmuszeniu jej do bezwarunkowej kapitulacji miał istotny wpływ na ostateczny kształt PRL w nowych granicach państwowych oraz na miejsce i rolę Polski w układzie sil politycznych w Europie.

Wiosną w 1945 r. wojna w Europie zbliżała się ku końcowi. Hitlerowskie Niemcy znalazły się w odosobnieniu. Na kierunku berlińskim odległość pomiędzy

wojskami radzieckimi i angielsko-amerykańskimi nie przekraczała 200 km. Wojska radzieckie stały nad Odrą i Nysą Łużycką, przygotowując się do zadania wrogowi ostatecznego uderzenia.

Dowództwo hitlerowskie chcąc zapobiec ofensywie wojsk radzieckich w głąb Niemiec zwracało szczególną uwagę na zorganizowanie silnej obrony naprzeciwko radzieckich związków operacyjnych znajdujących się na przyczółku pod Kostrzynem, leżącym 60 km od Berlina. Wraz z rozbudową odrzańsko-nyskiej rubieży obronnej Niemcy stworzyli wokół Berlina trzy pierścienie obrony — zewnętrzny, wewnętrzny i miejski. Samo miasto podzielono na 9 sektorów. Każdego z nich broniły specjalnie wyszkolone załogi. W rozkazach do swych żołnierzy dowództwo niemieckie nakazywało: „...walczyć o każdą ulicę, dom i ruinę, o każdą piędź ziemi, maksymalnie wykorzystując podziemne urządzenia”.

Dalszy ciąg na str. 3



RYSZARD BINKOWSKI

MUZY NA KULAWYM KONIU

Scenariusz przyjęcia Kroniki 30-lecia w gminie Dąbrowa Zielona:

16,30 — zbiórka młodzieży
17,00—17,10 — powitanie sztafety i gości
17,10—17,40 — odsłonięcie kamienia i wystąpienie okolicznościowe
17,40—17,50 — przyjęcie Kroniki i odczytanie wpisu
17,50—18,20 — wspomnienia H. Struskiego (Ps. „Przełotny”, żołnierz AL — przyp. R. B.)
18,20—18,50 — program artystyczny — poważny
18,50—19,10 — przemarsz do szkoły
19,10—19,30 — część rozrywkowa, zakończenie.

Byłem w Dąbrowie Zielonej, lecz w imprezie nie uczestniczyłem, chociaż gorąco zapraszano mnie na następny dzień. W tym czasie, korzystając z różnych źródeł, zbierałem ma-

teriał o kulturze w gminie. Dowiedziałem się m. in., że przez powiat radomszczański idzie tzw. „Sztafeta 30-lecia”, a wraz z nią od miejscowości do miejscowości wędruje Kronika, do której wpisuje się co ciekawsze wyjątki z dziejów miejscowości, pokazuje osiągnięcia gospodarcze, zaangażowanie mieszkańców, czyny społeczne itp. Dominują imprezy artystyczne, a wszystko zaczęło się 7 kwietnia w Pławnie.

Ponadto „Sztafeta 30-lecia” towarzyszy konkurs „Dekada kultury w gminie”, którego założenia przewidują zorganizowanie szeregu imprez związanych z pobytem Kroniki na terenie gminy: wleczornice, montaż literacko-muzyczne, spotkania z działaczami, ludźmi dobrej roboty, festyny, prace społecznie użyteczne, kon-

kursy itp. Szczególnie preferowane jest „doprowadzenie” też XIII Plenum KC PZPR do młodzieży i całego społeczeństwa wsi radomszczańskiej. Nad całością czuwa i oceny dokonają, na podstawie wizytacji i przedłożonych scenariuszy, Powiatowy Sztab Konkursu.

Wypadło mi zwinąć manatki i wracać do domu. Bo Sztab czuwa, a kultura kwitnie i wręcz zalewa powiat. Ale jak pompa świąteczna dobrze pracuje, to zawsze jest zalew. Zostałem i wracam do początku mojej peregrynacji.

Dalszy ciąg na str. 5

WYMIANA DÓBR

Różna to od wielu innych inauguracja. Różna i znacząca. Możemy się pochłubić w 30-lecie wieloma sukcesami w upowszechnianiu kultury i sztuki, przybliżaniu społeczeństwu wartościowszych treści kultury. Niektórych z tych osiągnięć nie zauważamy — tak już się stały oczywiste. Bo przecież, mimo ciągle krytycznego spojrzenia na wiele spraw z tego zakresu (czegoż nie można zrobić jeszcze lepiej, jeszcze skuteczniej), faktem jest bujny wzrost czytelnictwa książek, faktem jest wysoka frekwencja w teatrach i instytucjach muzycznych, faktem jest szeroki udział sztuk plastycznych w kształtowaniu codzienności i wyobraźni.

Uprzymiśnijmy sobie przy tym, że wszystko to było wykonalne dopiero po spełnieniu podstawowych warunków — likwidacji analfabetyzmu, który otrzymaliśmy w spadku po przedwrześniowej polityce kulturalnej, odbudowie środowisk twórczych, artystycznych, mocno przetrzebionych przez hitlerowski okupant, utworze-

niu szerokiej bazy instytucji kulturalnych.

Jednakże — trzeba sobie nie zlikwidowałyśmy wszelkich dysproporcji w udziale społeczeństwa w dobrach kultury. Istnieją one jeszcze zarówno w ujęciu geograficznym (stosunkowo słaba baza materialna kultury w Łodzi i w regionie — w zestawieniu z bazą, jaką dysponują inne ośrodki wielkomiejskie), jak i w ujęciu klasowym. Kultura jest wprawdzie dostępna dla wszystkich — w tym jednak sensie, że nie istnieją bariery uniemożliwiające udział w niej którejśkółwiek z warstw społeczeństwa. Szanse dostępu nie są jednak równe. Inne szanse ma lekarz, inżynier, nauczyciel, dziennikarz (teraz sprawa: jak z nich korzysta?) — inne tkaczka z „Obrońców Pokoju”. Chodzi już tu nawet o szanse w kategoriach codziennych, życiowych, kształtowane przez warunki bytu. Praca, dojazd, zakupy, dom — wszystko

to inaczej wygląda w rodzinie robotniczej.

Stąd więc pewna wyjątkowość i znaczenie tegorocznych „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”. Skojarzone z programem „Sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką”, za hasło pierwsze mają one kulturę w wielkich ośrodkach przemysłowych. A więc adres już nie ogólny, ale bardzo konkretny, ściśle skonkretyzowany, adres klasowy.

Że by jednak sądził, kto by myślał, że jest to rodzaj filantropijnej akcji, posłanie do maulskich, rozdawanie byle jakich dóbr za każdą cenę. (Bardzo przy tym trzeba czuć nad chałturszczykami, aby nie zrozumieli sojuszu jako sojuszu z nimi — okazji do sezonowej wyprzedaży myślowych i artystycznych bubił, do szerzenia drobniomieszczańskiej ideologii). Nie chodzi o tworzenie okazji do zabijania czasu przez ludzi, którzy i tak tego czasu nie mają zbyt wiele. Chodzi o znacznie więcej.

Ma to być sojusz między dwoma wielkimi partnerami. Wymiana dóbr. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza jest w tym sojuszu nośnikiem ideologii; jej artystycznym odpowiednikiem mogą być tylko te dzie-

ła, które zaspokajają i rozwijają potrzeby społeczeństwa budującego socjalizm. A więc — nie tyle adres, ile — wymiana adresów. Aktywność obu stron.

Ogólnopolska uroczystość inauguracyjna w ŁZPB im. Obrońców Pokoju — zakładach największych w Łodzi i największych w branży przemysłowej lekkiego (10,5 tys. pracowników), zaznaczyła się pięknym aktem — wymianą dokumentów o wzajemnych zobowiązaniach jakie zaciągnęły wobec siebie, w ramach „Sojuszu”, ludzie pracy i ludzie sztuki. Obie strony traktują ten akt rozsądnie i rzeczowo — jako pierwszy dopiero krok we wzajemnym poznaniu i współdziałaniu. Pierwszy, oczywiście, na nowym etapie kontaktów. Żadna ze stron nie będzie bowiem działać na głębie dziewczęcej. Grunt pod ten sojusz przygotowało trzydziestolecie.

J. KATARASIŃSKI

POLEMIKI

DAŻENIE DO BESTSELLERU

Prasa i radio mają tę przewagę nad wydawnictwem książkowym, że mogą działać bardzo szybko, reagować spontanicznie, publikować na gorąco. Publicysta w polemicznym ferworze, może wychwycić jeden element złożonego tematu i uczynić zeń własną konstrukcję myślową.

Można też, w oparciu o wyrzykowane informacje, podsumować jeden rok pracy wydawnictwa i zestawiać z dokonaniem lat kilkunastu. Z pewnością wyjdzie to na korzyść wysiłków wielu ludzi. To jest oczywiste, wynik jest pewny, bo preferuje osiągnięcia twórcze i pracę redaktorską na przestrzeni długiego okresu czasu.

Tylko czy to metoda?

Czy rodzenie się i ukazywanie bestsellerów, w stosunkowo wąskim rozdziale czasowym, jakim jest jeden rok kalendarzowy jest sprawą tak oczywistą i jednoznaczną?

Wydawnictwo Łódzkie, będąc wiodącym w zakresie przekładów z języka białoruskiego, czuje się upoważnione do wpisania na listę swych osiągnięć cennych i pieczołowicie wydanych tłumaczeń (notabene dokonanych przez grono łódzkich literatów) poezji i prozy bratniego narodu.

Podobnie wygląda sprawa z nieznanym red. J. Wilmańskiemu „Albumem dokumentów — Łódź 1423—1973” wydanym przez WL wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi. Potrzebą i życzeniem społeczeństwa oraz władz miasta było posiadanie albumowego wydawnictwa, prezentującego w okazalej szacie edytorskiej reprodukcje najważniejszych aktów normalnych i dokumentów obrazujących historię naszego miasta.

Innym zagadnieniem jest koordynacja inicjatyw wydawniczych, w skali miejskiej i polityki programowej w tym zakresie. Należy żywić nadzieję, że działalność Rady Wydawniczej przy Urzędzie m. Łodzi przyczynić się będzie do prawidłowego rozstrzygnięcia, co, gdzie, kiedy i jak wydawać z dziedziny tematów łódzkich (mam tu na myśli przede wszystkim wydawnictwa okolicznościowe i popularnonaukowe).

Aby wprowadzić nieco barwy w zaprawiony na szaro obraz Wydawnictwa Łódzkiego — kilka, interesujących chyba, informacji:

Sporządź wymienionych w „Głosie” J. Wilmańskiego łódzkich autorów, nieomal wszyscy, ku naszej dużej satysfakcji, zawarli z WL umowy, pisząc książki lub je złożyli. Tak więc wydawać będziemy książki Wandy Karczewskiej, Wacława Billińskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Bernarda Sztajnera, K. Frejdliha w spółce autorskiej z W. Fiwkiem. Ukazą się także powieści: E. Ostrowskiej, H. Chrościelewskiej, W. Rymkiewicza, L. Świeżawskiego, E. Kopeczyńskiego, A. Zawilskiego.

Na przestrzeni 2 lat (74 i 75) opublikujemy 7 tomików poetyckich łódzkich autorów. Wyjdzie także „Rzecz poetycka — środowisko” prezentująca łódzkie środowisko poetyckie i krytyczno-literackie. Kontynuujemy cykl albumów rytmicznych W. Kondka. Przygotowujemy do druku album fotograficzny Łódź — autorstwa Z. Waltera i J. Madejskiego.

Tyle pokrótce o łódzkich barwach, o współpracy Wydawnictwa ze środowiskiem literackim i artystycznym. Efekt finalny w postaci książki, która trafi do rąk czytelnika i sprzylnie z pewnością niejedną satysfakcję artystyczną i społeczną. Pozwala mi to wyrazić opinię, że ten rok pracy nie jest bezocynowy ani dla czytelnika, ani dla środowiska, ani też dla wydawnictwa.

BARBARA LIS

Redaktor Naczelny
Wydawnictwa Łódzkiego

PROSZĘ O GŁOS!

W ubiegłym tygodniu na łamach „ODGŁOSÓW” opublikowaliśmy obszerny fragment dyskusji, którą zorganizowaliśmy z inicjatywą zespołu kultury Komisji Ideologicznej KL PZPR, wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i Łódzkim Domem Kultury. Obecnie pragniemy podzielić się refleksjami i uwagami z tej dyskusji, przedstawić nasze stanowisko.

Zapraszając młodych do dyskusji, kierowaliśmy się — jak to podkreślił Włodzimierz Pośpiech — ich żarliwością i aktywnością. Nie był to w żadnym wypadku ukłon w stronę „młodej kultury”. Modne jest obecnie używanie różnych przymiotników przy słowie: kultura. Mówi się więc o kulturze robotniczej, ludowej, o kulturze młodych. Ale kultura jest jedna, niepodzielna: narodowa i socjalistyczna. I jak to ktoś w dyskusji zauważył, obojętny mu jest wiek twórcy, ważne

recenzyjnych i jego publikacje nie funkcjonują na rynku czytelnicy.

Jakkolwiek o hermetyczności środowisk twórczych mówiła tylko Iwona Książek — bibliotekarka, to prawda ta przebiegała się z wielu wystąpieniami. Jedni pragnęli z tego uczynić zaletę, inni — szukali sposobów wyjścia. Jest niewątpliwie prawdą, że młody, nawet bardzo zdolny twórca ma sporo kłopotów ze znalezieniem dla siebie miejsca w zespołach „dorosłych”, a więc ludzi z dorobkiem, koneksjami, tkwiących w układach, które czasem więcej się liczą od istoty działalności kulturalnej. I być może dlatego to dość powszechne wołanie o forum dla młodych. Jednym więc marzyła się scena młodych. Propozycja naszym zdaniem do rozważenia przez teatry. Innym — pismo, jakie miałyby to być pismo, dla kogo i przez kogo? — to już sprawa — dla postulujących — mniej istotna.

Nasze zdanie w tej sprawie jest jednoznaczne, ale nielatwe do zaprezentowania, bo nie chcemy być posądzeni o obawę przed konkurencją. Po prostu — znając sytuację wydawniczą — stojmy na stanowisku, że w tej chwili nie ma warun-

CZY PAŃSTWO LUBICIE DYSKUSJE?

są treści, jakie proponuje się odbiorcom. Całkowicie zgadzamy się z tym poglądem, co nie znaczy, że młodym twórcom odmawiamy prawa do eksperymentu, prawa do szukania nowych form, za pośrednictwem których chcieliby wzbogacać narodową kulturę, przekazywać odbiorcom te treści, które ich nurtują i które uważają za ważne.

W każdej łódzkiej dyskusji o kulturze padają zaraz słowa: specyficzny odbiorca, trudny odbiorca. Zrozumiałe, że nie można dyskutować o kulturze, nie pamiętając o jej odbiorcy, ale owi „specyficzni odbiorcy” i „trudni odbiorcy” mają często tłumaczyć łatwizną lub usprawiedliwiać nieporadność i nieporozumienia. Zonglowanie mitem o „trudnym odbiorcy” może zaprowadzić na manowce poglądów, według których „o wiele ważniejszy jest ten, kto uczestniczy od tego, kto odbiera”. Autor tego poglądu posunął się aż tak daleko, że doszedł do przekonania, iż sukcesem będzie, jeśli powstanie 100 młodzieżowych teatrów, które nie będą miały ani jednego widza. Absurdalność tego wykazali sami uczestnicy dyskusji, bowiem nam wszystkim chodziło o to, aby twórcy kulturę dla ludzi, aby z każdym niemal dniem poszerzały się kręgi jej odbiorców. Chodzi nam również o to, aby w pojęciu kultury mieściły się jej różne formy, aby przeznaczona była ona dla różnych kręgów odbiorców i aby wszystkie formy działalności kulturalnej cechowała troska o należyty poziom.

Mit o „trudnym, łódzkim widzu” jest dlatego niebezpieczny, że prowadzi do samopuszczenia, zamiast mobilizować do wyteżonych poszukiwań. Mogłoby się wydawać — a mówili o tym popularyzatorzy kultury — że trudność upowszechniania kultury w Łodzi powinna prowadzić do poszukiwań coraz to nowocześniejszych form, do zrozumienia, że dziś — w drugiej połowie XX wieku — nie można upowszechniać kultury metodami z końca XIX wieku, że trzeba gwałtownie poszukiwać nowych. I dlatego między innymi wielu dyskutujących zwracało uwagę na potrzebę istnienia pośredników.

Pierwszym, generalnym pośrednikiem jest prasa, radio, telewizja. Stąd multum pretensji pod adresem tych środków przekazu, stąd też mgliste marzenie o „piśmie młodych”. Wydaje się, że i tutaj wiele było nieporozumień. Rola prasy, radia i telewizji jest wielostronna i może ona popularyzacji kultury poświęcać tyle a tyle miejsca i uwagi. Z niezrozumienia tej sytuacji rodzi się często przekonanie, że dla prasy, radia i telewizji sprawy kultury schodzą na dalsze miejsca, że poświęca się im mniej uwagi niż by tego życzyły sobie niektóre środowiska twórcze czy niektórzy działacze kultury. W naszym przekonaniu środki masowej informacji powinny pomagać działaczom kultury, a nie ich zastępować. Ich rola sprowadza się również do podejmowania problemów w życiu kulturalnego miasta, a nie spełnianie tylko funkcji informatora. Zresztą od maja br. zaczął się ukazywać „KALEJDOSKOP”, którego zadaniem polega właśnie na informowaniu o wydarzeniach kulturalnych.

Jak często zarzuty stawiane prasie, radiu i telewizji, że nie spełnia swojej roli, że nie docenia i pomija, polegają na nieporozumieniu, niech świadczy przykład — jak to powiedział Witold Sułkowski — z „wybitnym tomikiem poezji Zdzisława Jaskuły”. Tomik ten doczekał się sześciu omówień poza Łodzią, a w Łodzi — nie. Otóż tomik poezji Zdzisława Jaskuły ukazał się w niewielkim nakładzie, bodajże 200 egzemplarzy, jako druk bibliofilski, w wydawnictwie przeznaczonym dla prenumeratorów. Wydawnictwo to nie przesyła egzemplarzy

ków dla wydawania jakiegokolwiek nowego pisma. I to nakłada na nas dodatkowe obowiązki: dawania możliwości wypowiedzenia się również młodym autorom i działaczom kultury. I taką możliwość pragniemy stworzyć. Nawiązaliśmy już kontakt z Federacją Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej i przy jej pomocy będziemy szukali takich rozwiązań, aby dawały one możliwość prezentowania się młodym twórcom i działaczom kultury. Uważamy, że do tej pory na łamach pisma zbyt mało miejsca poświęcałmy sprawom młodego pokolenia.

Wiele ostatnio mówię o integracyjnej roli pisma. Postulat ten bierze się często z nieporozumienia. Niektórzy rolę tę rozumieją, jako obowiązek pisania o różnych środowiskach, prezentowania ich dorobku wobec innych. Od tego nie uchylamy się, jakkolwiek bardziej nas interesują problemy poszczególnych środowisk twórczych od prezentowania liryczno-optimistycznych sprawozdań. Integracyjną rolę pisma rozumiemy jednak inaczej. Przede wszystkim przez skupianie wokół pisma ludzi z tych środowisk bądź jako autorów, bądź jako sympatyków, przyjaciół i doradców. Krąg ludzi coraz regularnie współpracujących z pismem stale się poszerza, a są wśród nich również młodzi autorzy, to jednakże daleko nam jeszcze do sukcesu w tej dziedzinie. Dlatego będziemy szczerze radzi, jeśli w wyniku współpracy z FSZMP uda się nam ten krąg ludzi skupiających się wokół pisma poszerzyć i powiększyć.

Dyskusja — jak już pisaliśmy w poprzednim numerze „ODGŁOSÓW” — trwała blisko 5 godzin. Padło w niej wiele krytycznych uwag o stanie kultury w Łodzi i to zarówno o warunkach, w jakich działają w mieście twórcy i popularyzatorzy kultury. Te uwagi krytyczne wynikały jednakże nie ze stanu permanentnego niezadowolenia, a z niecierpliwości i żarliwości młodych. Rozumiemy tę niecierpliwość i pochwalamy żarliwość. Uważamy, że w sprawach kultury w Łodzi zrobiono i dużo i mało. Dużo, jeśli chodzi o porównanie do warunków startu. Mało, jeśli chodzi o nasze potrzeby, marzenia i zamysły. Ale ważna jest świadomość tego, ważny jest fakt, że są ludzie, którzy pragną działać, którzy za cel stawiają sobie nie wejście w jakiegokolwiek wygodne układy, a dążą do wypowiadania swoich racji, którzy boją się, aby talentu i zdolności nie rozmielić na drobne chałturki. I cieszy fakt, że są również młodzi popularyzatorzy, którzy chętni byłiby poszukiwać nowoczesnych form upowszechniania kultury, którzy zamiast czekać na „dobrego widza”, pragną sami go szukać i tworzyć, dostarczając mu różnorodnych treści i form, którzy mówią o kulturze nie bojąc się słowa rozrywka, a mówiąc: rozrywka nie myśla o tandecie.

Chcielibyśmy patronować tym poczynaniom, pomagać przy ich realizacji w miarę naszych możliwości. Rozumiemy bowiem, że zainicjowana przez zespół kultury Komisji Ideologicznej KL PZPR dyskusja młodych miała na celu nie tylko wysłuchanie ich opinii, nie tylko danie młodym możliwości wypowiedzenia się, ale będzie też miała swoje konsekwencje w realnych już poczynaniach. Lubimy bowiem bardzo dyskutować, ale też chcielibyśmy, aby dyskusje prowadziły do konkretnych działań, aby nie kończyły się tylko na wypowiedzaniu takich czy innych racji. I tego życzymy młodym i sobie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PÓJDZIE PONAD MIASTEM...

Wiemy z doświadczenia jak łatwo zarobić etykietkę rozrabiacza. Wystarczy wskazać palcem niedostatki, wystarczy nazwać po imieniu „tumiwizm” ludzi odpowiedzialnych za konkretne sfery życia społecznego. Wówczas od razu podnoszą się głosy obrażonych świętości, które wolą uważać, że jest wszystko w porządku.

Bardzo łatwo szczebiotać o miłości Łodzi, o randze miasta, o szacunku dla artysty... Nikt jednak nie odpowiedział na pytanie postawione na łamach „Odgłosów” przed paroma miesiącami, dlaczego powiatowe miasto w woj. poznańskim może nadać imię Stanisława Czernika szkole czy bibliotece, a Łódź nie może. Choć Czernik był laureatem nagrody m. Łodzi, choć jest pisarzem, którego ranga w historii literatury jest niepodważalna...

Nikt nie odpowiedział na postawione tu przed paru miesiącami pytanie, dlaczego huta „Warszawa” mogła uhonorować film Czechińskiego i Czarnieckiego „Profesor na drodze”? Dlaczego dostrzegł ten film minister oświaty, przyznając twórcy nagrodę, a nie dostrzegł go w Łodzi, choć to Łódź — przecież była bohaterem tego filmu?

Dlatego nie ludzie się nadziejają, że ktoś odpowie na postawione tu niżej pytania.

Do rzeczy więc. Powstał film reż. Waldemara Podgórskiego „Pójdź nad sadem” wg książki Ryszarda Binkowskiego. Po raz pierwszy pokazano w pełnometrażowym filmie

pięknie i prawdziwie Łódź, jej fabryki, ludzi przemysłu... Bez przesady — pokazano Łódź pięknie i prawdziwie.

Film został skierowany na Międzynarodowy Festiwal Filmów o Pracy. Otrzymał tam jedną z nagród. Aktualnie Warszawa, Lublin i jeszcze parę miast czyni starania, aby premiera odbyła się na ich terenie.

W Łodzi nikt o tym filmie nie wie. Łódź nie jest zainteresowana w premierze filmu o Łodzi. Nikomu w Łodzi nie wpadło do głowy, aby na majowe święto kultury pokazać go łodzianom. Jak go CWF przysłał, to pójdzie na ekrany, jak każdy inny film. Pójdzie... ponad miastem, gdzieś obok zainteresowań organizatorów i działaczy. A przecież film Binkowskiego i Podgórskiego to znakomita szansa propagandowa. Mówi on bowiem w sposób atrakcyjny o sprawach ważnych i istotnych społeczeństwa.

Jak to się stało, że film realizowany w tym mieście, film reprezentujący polską kinematografię na Międzynarodowym Festiwalu Filmów o Pracy, uzyskujący tam jedną z nagród — taki film umyka uwadze organizatorów i działaczy kultury? I nawet nikt nie zadbał o uroczystą premierę „Pójdź nad sadem” w mieście, o którym mówi tak pięknie i prawdziwie.

JERZY WILMAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ. Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI.

Naprzeciwko spodziewanej ofensywy wojsk radzieckich dowództwo niemieckie utworzyło dwie Grupy Armii „Wisła” i „Srodek”. Liczące łącznie około 1 mln żołnierzy, 10400 dział i moździerzy, 1500 czołgów i dział pancernych, ponad 3 mln pancerników oraz 3300 samolotów bojowych. Kola rzadzące w Niemczech chciały za wszelką cenę powstrzymać ofensywę wojsk radzieckich, nie tracąc nadziei na zawarcie z państwami zachodnimi oddzielnego pokoju, który pozwoli skierować wszystkie posiadane siły przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Na kierunku berlińskim skoncentrowały się trzy radzieckie Fronty: 2 Front Białoruski, pod dowództwem marsz. Rokossowskiego, na wybrzeżu Morza Bałtyckiego i nad dolną Odrą, 1 Front Białoruski, dowodzony przez marsz. Żukowa, nad środkową Odrą i częściowo nad Nysą Łużycką oraz 1 Front Ukraiński marsz. Koniewa na linii Nysy Łużyckiej, na południe od Sekowic i wzdłuż Sudetów. Wojska te liczyły 2,5 mln. żołnierzy, prawie 42 tys. dział i moździerzy, ponad 5,3 tys. czołgów i dział pancernych oraz 8,4 tys. samolotów.

Radziecki plan operacji berlińskiej przewidywał czołowe uderzenie przeciwko zgrupowaniu broniących Berlina wojsk niemieckich od wschodu, z równoczesnym obejściem od południa i północy oraz okrążenie nieprzyjaciela przez główne siły 1 Frontu Białoruskiego i prawie skrzydło 1 Frontu Ukraińskiego. W celu uniemożliwienia wrogowi przeciwdziałania na skrzydła wojsk okrążających Berlin, przewidywano natarcie 2 Frontu Białoruskiego i lewego skrzydła 1 Frontu Ukraińskiego w kierunku zachodnim ku Łabie, na północ i na południe od Berlina. Manewr ten zabezpieczał przeprowadzenie operacji przed wszelkimi niespodziankami ze strony nieprzyjaciela.

W operacji berlińskiej brały udział dwie nasze armie. 1 Armia WP — pod dowództwem gen. Stanisława Popławskiego — wschodziła w skład 1 Frontu Białoruskiego. Nowo sformowana 2 Armia WP — pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego — wraz z 1 korpusem pancernym i 2 dywizją artylerii działała w ramach 1 Frontu Ukraińskiego. Ponadto na kierunku 1 Frontu Białoruskiego działał 1 korpus lotniczy WP oraz wchodząca w skład tego Frontu 1 samodzielna brygada moździerzy i 6 samodzielny zmotoryzowany batalion pontonowo-mostowy. Siły polskie liczyły prawie 200 tys. żołnierzy, 3,1 tys. dział i moździerzy, 500 czołgów i dział pancernych oraz 320 samolotów.

W ramach trzech radzieckich frontów operacyjny rzut Wojska Polskiego liczył około 8 proc. stanu osobowego, ok. 7,5 proc. dział i moździerzy, 4 proc. czołgów i dział pancernych i 4 proc. samolotów. Obydwie polskie armie stanowiły 12 procent związków operacyjnych pierwszego rzutu wojsk 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego. Łączna szerokość pasów działania 1 i 2 armii WP na podstawach wyjściowych do natarcia (45 km) wynosiła szóstą część 300 kilometrowego frontu przelamania wojsk radzieckich od Dąbia Szczecińskiego do Pieniska.

Liczby te, podobnie jak przebieg i znaczenie prowadzonych walk świadczą o ważkim, istotnym wkładzie naszych sił zbrojnych w ostatnią fazę wojny z hitlerowskimi Niemcami.

Zadania oraz wynikające z nich miejsce i rola armii polskich w operacji berlińskiej były podobne, ale warunki wykonania zadań i stopień ich trudności — pod wieloma względami odmienne. 1 Armia WP miała za zadanie sforsować Odrę w rejonie Siekierok, przełamać obronę nieprzyjaciela na odcinku Gozdowice, Karlsblase, zlikwidować opór wojsk niemieckich w międzyrzeczu Odry i Starej Odry i nacierając dalej na zachód zabezpieczyć prawe skrzydło 1 Frontu Białoruskiego przed uderzeniami wojsk grupy armii „Wisła”. Przy wykonywaniu tego zadania 1 Armia WP współdziałała z radziecką 61 armią, która miała sforsować Odrę w rejonie przelomu eberswaldskiego i nacierać wzdłuż południowego brzegu Kanalu Finow. Na lewo działała 47 Armia, która wychodząc z przyczółka pod Czelnim, winna była okrążyć Berlin od zachodu natarciem przez Wriezen, Bernau.

W podobnej sytuacji miała rozwijać działania zaczepne 2 Armia WP. Po przelamaniu obrony nieprzyjaciela nad Nysą Łużycką na odcinku Rothenburg, folwark Wysokie, miała ona rozwijać natarcie na Niesky, Drezno i zabezpieczyć lewe skrzydło 1 Frontu Ukraińskiego przed uderzeniami wojsk grupy armii „Srodek”. Prawym sąsiadem naszej armii była 5 Armia gwardii, lewym zaś 52 Armia radziecka.

Przystępując do walk w operacji berlińskiej 1 Armia WP posiadała bogate doświadczenie bojowe zdobyte w bitwach na szlaku od Lenino przez Dęblin i Puławę, Warszawę, Wał Pomorski, aż do wybrzeża Morza Bałtyckiego. Dla 2 Armii, większości jej dowódców i sztabów, a zwłaszcza szeregowych, operacja berlińska połączona z forsowaniem Nysy Łużyckiej, była pierwszym starciem bojowym, do którego przystąpiono po krótkim stosunkowo okresie formowania i szkolenia, przerywanego zresztą marszami trwającymi nieustannie od końca stycznia 1945 r.

16 kwietnia rano oddziały 1 Armii WP wspólnie z wojskami radzieckimi przeszły do natarcia. Po silnym przygotowa-

niu artyleryjskim i lotniczym, 1 dywizja piechoty rozpoczęła forsowanie Odry w rejonie Siekierok. Nieco później, nacierając z przyczółka pod Gozdowicami na głównym kierunku uderzenia armii, przeszły do natarcia oddziały 3 dywizji piechoty i część sił 2 dywizji piechoty. Ponieważ opór wojsk niemieckich był bardzo silny, gen. Popławski już 17 kwietnia wprowadził do pierwszego rzutu 6 dywizję piechoty. W ciężkich walkach do 18 kwietnia jednostki 1 Armii wyparły nieprzyjaciela za Starą Odrą niemal w całym pasie natarcia. W nocy

KIERUNEK BERLIN

z 19 na 20 kwietnia cała armia sforsowała Starą Odrę.

Sukcesy wojsk radzieckich dążących do oskrzydlenia Berlina z północy i południa pozwoliły 1 Armii WP przejść do pościgu. 20 kwietnia z rana jednostki 1 Armii WP przeszły do pościgu, skrupiając główny wysiłek na lewym skrzydle, gdzie walczyła 4 dywizja piechoty dowodzona przez gen. Bolesława Kieniewicz. Przez trzy dni i dwie noce pułki 4 dywizji i działające z desantem piechoty przed siłami głównymi wojska pancernego armii prowadziły imponujący pościg. Próby zatrzymania naszej armii na rubieży Kethen, Gersdorf, Krüge zakończyły się dla wojsk niemieckich niepowodzeniem.

Następnym zadaniem 1 Armii było osiągnięcie i sforsowanie Kanalu Hohenzollernów. Jako pierwsza przystąpiła do forsowania kanału 4 dywizja piechoty w nocy z 22 na 23 kwietnia na północ od Hennigsdorf. Pułki tej dywizji przeprowadziły się na środkach podręcznych i dwóch mostach szturmowych, odparając 10 zacieklých kontrataków nieprzyjaciela. Do 24 kwietnia jednostki naszej armii osiągnęły południowy brzeg Kanalu Hohenzollernów i Kanalu Ruppiner oraz rubież od Kremmer, Börnicke do Nauen, przechodząc do obrony.

25 kwietnia na północ od Poczdamu spotkały się wojska radzieckie dwóch frontów. Berlin został całkowicie okrążony. Teraz walki toczyły się o samo

Łabą 4 dywizja piechoty. Działając na głównym kierunku uderzenia armii napotkała ona na silny punkt oporu w Kliez. W miejscowości tej znajdowała się fabryka prochu, a ponadto przez Kliez dowództwo niemieckie usiłowało przerzucić za Łabę jak najwięcej swych wojsk i oddać do niewoli Amerykanom. Kliez zostało zdobyte w krwawych walkach w nocy z 5 na 6 maja głównie przez żołnierzy 11 i 12 pułków piechoty.

Wielkim wyróżnieniem dla żołnierzy ludowego Wojska Polskiego był udział w szturmie Berlina. 30 kwietnia do walki o Berlin została skierowana 1 dywizja piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Walczyła ona w składzie 2 Armii pancernej

nocnych przedmieść Drezna. Na przedpolu Drezna wyszedł także 1 korpus pancerny.

W wyniku dotychczasowych działań w ugrupowaniu 2 Armii wyrworzyła się duża, prawie pięćdziesięciokilometrowa luka między zgrupowaniem głównym tzw. drezdeńskim a pomocniczym. Nieprzyjacieli wykorzystali tę dogodną dla siebie sytuację i wprowadził w walkę tzw. zgorzeleńskie zgrupowanie z grupy armii „Srodek”. Zarzynało się niebezpieczeństwo rozciągało na całej linii.

Pod Budziszynem doszło do najcięższych i najkrwawszych walk w historii 2 Armii WP. Dochodziło do walk w okolicach, do sytuacji zaskakujących i niejednokrotnie dramatycznych. Obie strony ponosiły poważne straty w ludziach i sprzęcie. Wojska niemieckie chciały za wszelką cenę przebić się w kierunku północnym i przysięść do Berlina. Jednakże waleczność, męstwo i poświęcenie żołnierzy 2 Armii pokrzyżowały te plany. W walkach pod Budziszynem współdziałające z sąsiednimi jednostkami radzieckimi, oddziały 2 Armii wykrywały i wyczerpały siły zgorzeleńskie zgrupowania nieprzyjaciela.

W ten sposób nasza armia w pełni wykonała powierzone jej zadanie, zabezpieczając od południa główne zgrupowanie 1 Frontu Ukraińskiego, które mogło skutecznie bić wroga pod Berlinem nie obawiając się ataków z lewego kierunku. Po bitwie pod Budziszynem 2 Armia WP, wspólnie z wojskami radzieckimi wzięła udział w operacji praskiej, nosząc wolność narodowi czechosłowackiemu.

Symbolem wiekopomnego zwycięstwa Armii Radzieckiej nad hitleryzmem było zatknięcie w dniu 2 maja w Berlinie radzieckiego czerwonego sztandaru. Obok niego dumnie powiewał biało-czerwony sztandar polski. Spośród państw koalicji antyfaszystowskiej tylko wojska radzieckie i polskie szturmowały i zdobywały Berlin.

W toku operacji berlińskiej Radzieckie Siły Zbrojne rozbiły 70 niemieckich dywizji piechoty, 12 dywizji pancernych i 11 dywizji zmotoryzowanych. Do niewoli wzięli około 480 tys. żołnierzy niemieckich, zdobyli ponad 1500 czołgów i dział pancernych, 4500 samolotów oraz 10917 dział i moździerzy.

Sukces ten wojska radzieckie opłaciły znacznymi stratami własnymi. Straty 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego wynosiły 304887 zabitych, rannych i zaginionych bez wieści.



Fot. Archiwum

miasto. Okrążone wojska niemieckie w Berlinie oczekiwali ratunku z północy, przede wszystkim „as od grupy armijnej gen. Steinera w Mekiemburgii.

Próba odsieczy dla Berlina nastąpiła 25 kwietnia. Hitlerowcy uderzyli znad Kanalu Ruppiner w styk między pułkami 2 dywizji piechoty i wdarli się w głąb naszej obrony na 2-3 km. Bohaterskie walki naszych żołnierzy o utrzymanie nieprzyjaciela trwały do 27 kwietnia. W dniu tym 2 dywizja piechoty wspólnie z 1 dywizją piechoty i 1 brygadą kawalerii odepchnęły wojska niemieckie na północny brzeg kanału.

27 kwietnia 1 Armia przeszła do natarcia w kierunku zachodnim, realizując te zadania, które otrzymała nad Odrą. Na głównym kierunku uderzenia znajdowała się w dalszym ciągu 4 dywizja piechoty, która odniosła największe sukcesy w dotychczasowych walkach.

Prowadząc ciężkie walki 1 Armia w dniu 2 maja wyszła na wschodni brzeg Hawel. Jednostki polskie forsowały rzekę na środkach podręcznych, a nawet wpraw, gdyż wszystkie przeprawy Niemcy zniszczyli. Ambicją Polaków było jak najszybsze wyjście nad Łabę. Pierwszy dokonał tego 14 pułk piechoty z 6 dywizji. 3 maja o godz. 17.30 żołnierze tego pułku osiągnęli prawy brzeg Łaby na odcinku od Wulkau do Radau. Następnego dnia stanęły nad Łabą dalsze jednostki polskie.

Najdłużej, bo do 6 maja walczyła nad

gwardii gen. Bogdanowa. Ponadto w składzie tej armii walczyła 2 brygada artylerii haubic i 6 zmotoryzowany batalion pontonowo-mostowy. W składzie 47 Armii gen. Perchorowicza działała 1 samodzielna brygada moździerzy. Razem w Berlinie walczyło 12 tys. Polaków.

Żołnierze 1 dywizji piechoty prowadzili krwawe walki o gmachy politechniki i Tiergarten, następnie nacierając wzdłuż Charlottenburger Chaussee, wyszli na tyły Reichstagu i osiągnęli Bramę Brandenburską. Tutaj nastąpiło spotkanie z wojskami 1 Frontu Ukraińskiego. Na pobliskiej Segessäule, wzniesionej przez Niemców na pamiątkę zwycięstwa nad Francją w 1870/71 r., plut. Ku'lis zatknął polski biało-czerwony sztandar.

Pułki 1 brygady moździerzy wspierały działania 125 korpusu 47 Armii w walkach pod Spandau, Poczdamem, Bernau i Glienicke. Żołnierze 2 brygady artylerii haubic wspierali oddziały radzieckie w zachodniej dzielnicy Berlina — Charlottenburg. Polscy artylerzyści wykazali w tych walkach wysoką wartość bojową, prowadząc umiejętnie ogień pośredni i na wprost na odległość 100 m, a nawet 50 m. W chwili kapitulacji Berlina oddziały brygady znajdowały się na skraju Tiergarten, nad Sprewą i w rejonie stacji kolejowej Bellevue.

15 kwietnia rano do natarcia przeszła także 2 Armia WP. Zapoczątkowało je 145-minutowe przygotowanie artyleryjskie. Dobrze przygotowany ogień był niezwykle celny i skuteczny. Pozwolił on pomyślnie sforsować Nysę Łużycką na

lewym skrzydle armii w rejonie Rothenburga, gdzie działały 8 i 9 dywizje piechoty. Przebieg forsowania Nysy obserwowali Naczelny Dowódca Wojska Polskiego gen. broni Michał Rola — Żymierski.

Pomimo zaciętego oporu Niemców, jednostki polskie znajdujące się na głównym kierunku uderzenia armii już 17 kwietnia o świcie rozpoczęły walkę o przelamanie trzeciej pozycji nieprzyjaciela. Niejako kluczem do przelamania tej pozycji było oprowadzenie silnie umocnionej, dużej miejscowości Horka, ciągnącej się na przestrzeni 6 km. Po wprowadzeniu do walki 1 korpusu pancernego opór nieprzyjaciela został złamany i jednostki polskie rozwinęły natarcie w kierunku Niesky. Walki o Niesky miały gwałtowny i krwawy przebieg. Miasto zostało opanowane przez 8 i 9 dywizje piechoty oraz 1 korpus pancerny 18 kwietnia w godzinach przedwieczornych. 19 kwietnia główne siły 2 Armii rozwinęły natarcie w kierunku zachodnim, a 20 kwietnia rozpoczęły pościg za nieprzyjacielem w kierunku Budziszyna i Drezna.

Po 6 dniach siły główne armii posuwały się w kierunku zachodnim o prawie 80 km; opanowały rejon Pulsnitz, Mittelbach, Karenz. W dniu 22 kwietnia na czoło armii wysunęła się 9 dywizja piechoty, która zbliżyła się 6-10 km od pół-

W operacji berlińskiej znaczne straty zadały nieprzyjacielowi jednostki ludowego Wojska Polskiego. Jak wynika z przybliżonych danych, obie nasze armie do końca prowadzonych działań zlikwidowały i z rąk prawie 30 tys. Niemców, do niewoli wzięto 8755 żołnierzy niemieckich. Jednostki polskie zniszczyły w walce 361 czołgów i dział pancernych, 328 dział i moździerzy oraz 104 samoloty.

Sukcesy odniesione w operacji berlińskiej obydwa nasze armie okupiły ofiarcie przybłądą krwią swoich żołnierzy. Łączne straty wynosiły 30455 zabitych, rannych, kontrasygnowanych i zaginionych bez wieści. Z tego na 1 Armii WP przypada 10395 żołnierzy, na 2 Armii natomiast 20180 żołnierzy. Straty 2 Armii w rzeczywistości są o kilka tysięcy mniejsze, ponieważ zostały do nich wliczone pododdziały, które znajdowały się w okrażeńiu, a zostały ujęte w sprawozdaniach jako zaginione, później wyszły z okrażeńia i powróciły do macierzystych jednostek.

Udział ludowego Wojska Polskiego w ostatecznym rozbięciu niemieckich sił zbrojnych ukoronował wysiłek narodu polskiego w latach II wojny światowej, a zarazem zakończył wojnę wyzwolenczą 1939-1945.

JAN POWAŁA

LISTY MARI DĄBROWSKIEJ

Adresatką listów Marii Dąbrowskiej była, zmarła w dniu 24 stycznia 1974 r., Stanisława Maria Krupa, Urodzona 22 kwietnia 1910 r. w Krakowie, po skończeniu tam Seminarium Nauczycielskiego im. M. Reja, była od r. 1929 nieprzerwanie nauczycielką. Uczyła najpierw w szkołach podstawowych, od r. 1930 w Rozprzry, pow. piotrkowskiego. Po wojnie rozpoczęła zaoczne studia wyższe na Uniwersytecie Łódzkim. Od r. 1950 uczyła nieprzerwanie w Łodzi, najdłużej w dzisiejszym IV LO im. E. Szanieckiego, aż do przejścia na emeryturę w r. 1965. Tam właśnie, wśród wielu innych zajęć dodatkowych, prowadziła Kółko Polonistyczne, którego korespondentką została m.in. Maria Dąbrowska.

Wspomniana w liście korespondencja młodzieży z wielką pisarką wywołana została dyskusją na zebrańiach Kółka nad twórczością pisarki i Jej radiowymi gawędami o swoich podróżach, jakże licznych i jak pełnych głębokich spostrzeżeń! Zarliwie umiłowanie wielkiej literatury polskiej dyktowało Stanisławie Marii Krupie niezawodne sposoby zbliżenia młodzieży do poznawanych na lekcjach utworów. Dochowały się w papierach po Zmarłej fragmenty korespondencji Kółka z Gustawem Morcinkiem, z Moniką Zeromska.

Warto byłoby, żeby dawne uczennice, do których napisała w roku 1956 Maria Dąbrowska, o ile dotrze do nich to wezwanie i prośba, podały bliższe okoliczności kontaktów z wielką pisarką. Mogłyby przynieść one uzupełnienia danych, które przydadzą się, kiedy dojdzie do zbiorowego wydania korespondencji autorki „Nocy i dni”.

Oryginały listów są w moim posiadaniu.

dr Eugenia Naturska
al. Chryzantem 6 m. 31
tel. 502-08

★ ★ ★

Koło Polonistyczne kl. XII
przy VII Szkole TPD

Nieborów, 2.VI.56

Drogi Dzień — Dziękuję najgoręcej, najserdeczniej za list Waszego Koła Polonistycznego. Przepraszam za tak wielkie opóźnienie mej odpowiedzi. Wskutek tego nie zastane już w Kole tych uczennic — maturzystek, które do mnie przesłane listy napisały. Dlatego przesyłam odpowiedź Waszej Pani Nauczycielce, która bez wątpienia dostarczy je tym maturzystkom, co już ze szkoła się żegna. Dziękuję za życzenie „odwaga, by dalej pisać o tym, co nadrośnięte sercu człowieka” — tak bardzo trafiające w sedno rzeczy. A jeśli interesujecie się moją twórczością, to donoszę Wam, że istnieją jeszcze moje książki „Znaki Życia” i „Uśmiech dzieciństwa”. Teraz nadto ukazała się moja książka „Myśli o sprawach i ludziach” (tom studiów publicystycznych). Wkrótce zaś ukaza się w osobnej książeczce „Szkice z podróży”, których fragmentu słuchaliście przez Radio.

Serdecznie Was pozdrawiam i całuję
MARJA DĄBROWSKA

★

Stanisława Krupianka, Łódź

Nieborów, 2.VI.1956

Droga Pani — List Pani, jak i listy Pani uczennic doszły mi z dużym opóźnieniem, że, że adresowana były nie bezpośrednio do domu, lecz do Związku, nadto przebywałam wtedy w Nieborowie i nocne przysyłano mi tu tylko co pewien czas.

Koniec końców listy Wasze znalazły się w moich rękach, gdy byłam na wyjeździe na granicę. Wróciwszy po paru tygodniach i mając zamiar dalej pracować w Nieborowie, gdzie mam większy spokój, zapakowałam całą zalegającą korespondencję i wzięłam ją ze sobą, aby stać na wysokości listy odpowiedzieć. Niestety, tak byłam zapracowana pewną pracą pisarską, że dopiero teraz do tego się zabrałam. Ze zmartwieniem spostrzegłam, że listy dzweczka za listami XI-klasistek (co mi wyszło z pamięci klas), a więc młodych osób, które są już zapewne po maturze i nie przychodzą do szkoły. A na kopertach podaję tylko adres szkoły! Nie pozostało mi nic innego, jak odpowiedzieć dla nich zaliczyć do Pani listu, gorąco prosząc o ich doreczenie panienkom i serdecznie przepraszając za fakt. Nie wątpię jednak, że Pani zna ich adresy i nie odmówi tej uprzejmości.

Przy sposobności dziękuję z całego serca i za Pani list, za wszystkie dobre słowa, jakie Pani w nim napisała. Nie może być dla pisarki większej radości, jak przyniesienie pociechy czytelnikom. Pisarce z reguły czepnia często pociecha z dobrych książek, co tak właśnie wyraził Stanisław Wyspiański w wierszu „Zaczynam się od słowa: „Pociecha moja ty, książeczko, książeczko smutna”. Jeszcze raz dziękuję, będę wdzięczna za pare słów wiadomości, czy Pani ten list otrzymała i czy mogła Pani jeszcze doreczyć listy panienkom, które do mnie napisały.

Serdeczne pozdrowienia
MARJA DĄBROWSKA

- Te czasy są już daleko - odparł z ironią.
- Zgorzkniały?
- Nie Nawet nie.
Oto głowa człowieka, który nie jest oderwany od ziemi. Jego dziadek albo pradziadek musiał być jeszcze chłopem. Miał grubą skórę, solidne kości. Patrzył prosto przed siebie.
- Przewieszam, panie Poitaud, że nie ma pan nic do zaznania?
- Nie wiem, co pana interesuje. Ze całą noc pitem? Ze dziś rano przebudziłem się nie tylko ze straszliwym kacem, ale także z dziewczyną w łóżku?
- Wiem o tym.
- Kazał mnie pan śledzić?
- Z takiej racji? Przecież to nie pan strzelał do szwagierki, nieprawdaż?
- Rysy jego stwierdził?
- Proszę mi nie brać za złe, że dziś rano zainstalowałem się w pańskim gabinecie i pozwoliłem sobie przetrząsnąć pańskie szuflady.
- To drobiazg.
- Postawiłem też parę pytań pańskiemu personelowi.
- Teraz ja z kolei odpowiem panu, że wiem o tym.
- Wszystko potwierdziło to, co nam mi oświadczył, na temat pańskich stosunków ze szwagierką.
- To znaczy?
- Ze te stosunki ustaly przed Bożym Narodzeniem zeszłego roku. Właściciel umeblowanego lokalu na ulicy Longchamp jest w porządku.
- Nie miałem żadnego powodu kłamać.
- Mogł pan mieć taki powód.
Komisarz zamilkł, zapalił papierosa, poczęstował gościa, który odruchowo zapalił. Alain zrozumiał, że to milczenie było celowe. Udawał, że uważa je za rzecz normalną i patrzył na pustą przestronność.
- Bardzo mi się chciało, żeby pan był również szczer, odpowiadając na pytania, które panu zadam. Zrozumie pan jakie one ważne. Jak pan zarządza, kiedy dowie się pan, kto był kochankiem pańskiej żony?
- Chce pan powiedzieć mojej żony i jej siostry?
- Zgadza się.
Przez chwilę zaciśnięły mu się pięści. Twarz szwagierki. Teraz on z kolei wazył swoje milczenie.
- Nie wiem - odparł w końcu. - To zależy.
- Od tego, kim jest mężczyzna?
- Będzie może.
- A gdyby to był na przykład jeden z pańskich współpracowników?
Błyskawicznie jego myśli raz jeszcze przesunęły się przez całą kamienicę przy ulicy Martignan, od góry do dołu, przywołując na pamięć twarze ludzi młodych i mniej młodych, bądź starych, eliminując jednego po drugim. Franciszek Lusson, kierownik działu reklamy, przystołniak, który uważał, że żadna mu się nie oprze. Niel Nie Kocur, w żadnym razie.
- Małeski też nie, ani mały Gagnon,

podskakujący i tłuściutki, sekretarz redakcji.
- Niech pan nie szuka. Za chwilę dam panu rozwiązanie zagadki.
- Pan wie?
- Mam do dyspozycji środki, których pan nie posiada, panie Poitaud. Z tego względu znajduję się w sytuacji delikatnej i dlatego poprosiłem pana do siebie. Niech pan zwróci uwagę na to, że nie wzywalem pana. Nasza rozmowa nie ma charakteru oficjalnego. Jak się pan czuje?
- Złe - odparł szorstko.
- Nie mam na myśli pańskiego kaca, ale nerwy.
- Jeżeli to wszystko, co chciałby pan wiedzieć, to jestem tak spokojny jak ryba, która przed chwilą wypatrzonko.
- Chciałbym, aby mnie pan wysłuchał z całą powagą. Na tyle znam Raba, by wiedzieć, że oprze swoją obronę na tym, że to morderstwo z namiętności. Do tego potrzebny mu główny aktor.
- Rozumiem.
- Panem nie może się już posłużyć, gdyż prawie rok temu stosunki między panem, a szwagierką ustaly. Kiedy sprawa dojdzie przed sądy przelicznych, Potakując kłwał głową. Istotnie był bardzo spokojny, był to spokój bolesny.
- Pańska żona odmawia zeznań. Niemniej ma ona prawo spodziewać się sprawiedliwości, a jeśli chodzi o zbrodnię w afekcie...
- Bez próżnej gadaniny, pozwól pan? Niech pan się streszcza, bardzo proszę.
- Pan wybacz, panie Poitaud, ale mam obowiązek upewnić się, że nie sprowokuje nowego dramatu.
- Obawia się pan, że go zabiję?
- Zasmiał się szorstko.
- Z czego powodu miałbym go zabić? Z powodu mojej żony? Przyszły zaimam się do myśli, że ją straciłem. Dużo nad tym myślałem. Wiedziałem, że jest pod ręką i to mi wystarczyło. Z chwilą, kiedy już jej nie ma...
- Zrobił nieokreślony gest. - Jeśli chodzi o Bébe, chce powiedzieć, o Adrienne...
- Rozumiem. Zostaje pańska ambicja. Pan jest ambitny i przyznaje, że ma pan powody, aby być z siebie zadowolonym.
- Ale nie jestem.
- Nie jest pan z siebie zadowolony?
- Nie.
- A więc wszystko panu jedno, kto zajął pańskie miejsce przy siostrach?
- Przypuszczam.
- Nie posiadała pan broni?
- Miałem tylko ten browning.
- Przyszła mi pan, że nie będzie pan się o nią starał?
- Przypuszczam.
- Mam do pana zaufanie. Niech pan przygotuje się na niespodziankę. Moi ludzie chodzą przesiłuchując dozorców w domach niektórych z pańskich współ-

pracowników, tych, którzy naszym zdaniem najbardziej wchodził w grę. Zwykle ostatni dzwonek jest dobry. Tym razem przypadek chciał, że był to pierwszy pod najbliższym adresem, na ulicy Montmartre.
- Alain zastanawiał się, kto z jego redakcji mieszka na ulicy Montmartre.
- Julian Bour.
- Fotograf z przekrzywną głową i chorowitą twarzą Ten, którego spotkał poprzedniej nocy w lokalu na ulicy Notre-Dame-de-Lorette.
- Zaskoczyło to pana?
- Silił się na uśmiech.
- Wybór wydaje mi się dziwny.
- Bour był ostatnim, o którym by pomyślał. Malo dbał o swój wygląd, byłby też przysięgi, że nigdy nie czuł zbawienia. Nie patrzył ludziom w oczy. Jak gdyby się ich lekiał.
- W gruncie rzeczy Alain nie prawie nie wiedział o jego przeszłości. Zanim wszedł do ekipy „Ty”, nie pracował dla żadnego z ważniejszych tygodników ani dla wielkich dzienników.
- Kto mu go przedstawił? Zaczął szukać w pamięci. Było to kilka lat temu. Nie był to ktoś, zwanany z jego tygodnikiem, a rzecz działała się w barze.
- Aleksi! - powiedział głośno.
- Wyjaśnił komisarzowi:
- Zastanawiałem się, w jaki sposób go poznałem. To chyba Aleksander Monogue wspominał mi o nim. Monogue jest podobno reżyserem filmowym. Wiele mówi o filmach, które zamierza nakręcać, ale nigdy nie wyszedł poza krótkometrażówki. Natomiast zna niewygodną liczbę ładnych dziewcząt i kiedy brakuje nam modelek, wystarczy do niego zadzwonić.
- Nie mógł przyjść do siebie. Bour - Nedzarł Bour, którego nie chciałaby żadna z maszynistek. Utrzymywano, że od niego śmierdził, ale Alain sam oświadczył, że nigdy tego nie zauważył.
- Rzadko wychodził gdzieś razem z pańską i nawet w takim wypadku był zaledwie figurantem. Wszyscy byli zaskoczeni, jeśli wchodził by się do rozmowy.
- Przynosił zdjęcia, wdrywał się na poddasze, aby je łamać razem z Leonardem Aguard, był bowiem bardzo skrupulatny.
- Obie naraz! - mruknął z osłupieniem.
- Pańska żona pierwsza zaczęła przychodzić regularnie na ulicę Montmartre.
- Wszystko odbywało się w jego mieszkaniu?
- Tak. Duża kamienica, prawie, że walcząca się, w której mieszczą się przede wszystkim biura i atelier. Na przykład atelier fotograficzne.
- Wiem.
- Była tam redakcja tygodnika przedruków, z którą współpracował na początku swojej kariery. Na wszystkich niemal drzwiach wisiały emalowane tabliczki: „Gumowe stemple”, „Fotoko-

ple, Hubert Kolnet, tłumacz przysięgły”, „Agencja E.P.C.”
Nigdy nie dowiedział się, co to za agencja E.P.C., gdyż ukazały się tylko trzy numery tygodnika.
- On zajmuje jedno duże pomieszczenie i dwa mniejsze na samej górze od podwórza. Duży pokój służy mu za studio i w nim wykonuje większą część zdjęć. Mieszka sam. Mój inspektor pokazał stróżce zdjęcie pańskiej żony, które rozpoznana natychmiast.
- Młoda dama, taka elegancka i taka uprzejma! - zawołała.
- Kiedy się to zaczęło?
- Prawie dwa lata temu.
- Alain aż poderwał się z miejsca. Nie mogło mu się w głowie pomieścić. W ciągu dwóch lat Kocur była zakochana w Julianie Bour i on niczego nie zauważył! Nadal z nim mieszkała. Utrzymywali stosunki małżeńskie. Spali nago, w tym samym łóżku. Dopiero w ostatnim czasie okazywała mniej namiętności.
- Prawie dwa lata!
- Wybuchnął śmiechem, śmiechem szorstkim i okrutnym.

- A siostra? Kiedyż ten biedak uwiodł siostrę?
- Dopiero trzy, czy cztery miesiące temu.
- Każda miała swój dzień?
- Komisarz obserwował go spokojnie.
- Pod koniec najczęściej przychodziła do niego Adrienne.
- Żeby go odbić siostrze, do diabła! Wreszcie przyszła jej koleżka! Zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz, jak by był w swoim gabinecie, albo w studio przy ulicy Fortuny.

Dalszy ciąg nastąpi



Rys. GRUN

TAJEMNICA (II) ŚMIERCI MUSSOLINIEGO

General Raffaele Cadorna i inni przywódcy ruchu oporu mają więc trudny orzech do zgryzienia. Z jednej strony są świadomi faktu co oznacza dla nich przejęcie Mussoliniego, z drugiej zaś wahają się czy należy go przekazać aliantom. Po wnikliwym rozważeniu wszystkich za i przeciw zapada decyzja: Mussoliniego trzeba na razie ukryć w bezpiecznym miejscu i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Postanawiają przy tym postąpić się podstępem - Duce zostanie przetransportowany i ukryty wśród trudne dostępnymi urwisk w okolicach Mediolanu. Jednocześnie chodzi o to, aby za wszelką cenę pozostał niezauważony. Wieczorem owego dnia, 27 kwietnia, w komendzie 52 brygady zadzwonił telefon. Na linii był Mediolan, a ściślej kwatery główna Cadorny. Meldunek, jaki został przekazany, zawierał wszystkie elementy tego planu. Jego zalecenia przewidywały umieszczenie Mussoliniego w bezpiecznym miejscu i zabranie go z roni nawet w razie próby ucieczki. Po odebraniu tych dyspozycji dowództwo 52 brygady postanowiło jeszcze tego samego wieczora przetransportować Duce w rejon gór w Dongo i ulokować go tymczasowo w koszarach straży celnej w Germasino. Miał to być pierwszy etap planu. Drugi opracowany w szczegółach przez „Pedra”, „Pietra Gatil” (Michele Moretti) i kapitan „Neri” (Luigi Canali) zakładał ukrycie Mussoliniego w zupełnie innym miejscu, co do którego miano zachować absolutną tajemnicę. Miejsce tym, zgodnie z propozycją kapitana „Neri”, miał być dom wieniąka Giacomo De Maria położony na zupełnym pustkowiu opodal San Maurizio di Brunate. (Nie jest do dziś całkowicie jasne, czy ta droga część planu została zalecana z Mediolanu, czy opracowała ją samorzutnie wspomniany dowództwo 52 brygady, Paolo Monelli sugeruje drugą wersję, natomiast Franco Bandini jest zdania, iż cały plan opracowano w Mediolanie).

te, wino. Duce robi się serdeczny. Jak gdyby zapominając o hańbie, jaką było aresztowanie go w przebraniu niemieckiego artylerzysty. Odzyskuje swoją dawną osobowość. Strażnicy traktują go przyzwyczajenie, okazując mu nawet pewne względy. Pod wpływem owej intymnej atmosfery Mussolini „rozkłada się” i zaczyna snuć półfilozoficzne przemówienie - tyrańca na temat faszyzmu, wojny i jej bezsensowności. Jego słuchacze to marszałek, brygadier i kilku młodych strażników.
Powoli zapada noc. Tej właśnie nocy z 27 na 28 kwietnia Mussolini miał zostać „przerzucony” do ustalonej kryjówki. Trasa miała przebiegać wzdłuż jeziora, aż do Moltrasio. Gdzie Mussoliniego miała oczekiwać motorówka, na której on i eskortujący go partyzanci powinni następnie dotrzeć do Villa Cademartori w Blevio po przeciwnej stronie jeziora Como. Tam z kolei mieli się spotkać z pięcioma partyzantami wybranymi przez dowództwo, których zadaniem było zaprowadzić ich do celu. Droga miała prowadzić górkami ścieżkami poprzez Capovico i Pissarattino do Baila Noè - pięknej willi w okolicach Brunate, gdzie planowano krótki postój. Stąd „ekspedycja” miała przedostać się do Bresso gdzie, jak już wspomnieliśmy, Mussoliniego będzie oczekiwał samolot amerykański. General Raffaele Cadorna zresztowo zaprzeczal, jakoby był autorem tego planu. Być może nie wydawał bezpośrednich rozkazów telefonicznych, niemniej jednak jego przyjaciel, baron Sardauna di Hohenstein - ówczesny nowy komendant garnizonu w Como twierdzi, iż otrzymał tej nocy trzy telefony z Kwatery Głównej w Mediolanie, a poza tym sam kilkakrotnie telefonował, aby poinformować przemysłowca Remo Cademartori (swojego przyjaciela i właściciela willi w Blevio), czego od niego oczekuje. Nie ulega również wątpliwości, że owych pięciu „artyzantów” stawilo się w umówionym miejscu na moście oczekując tej małej ekspedycji. Jest wreszcie pewne, że zgodnie z rozkazami, które dotarły z Como, willa Baila Noè została starannie przygotowana do przyjęcia nadzwyczajnego gościa. Po ukazaniu się szeregu publikacji na temat śmierci Mussoliniego, w tym rów-

nież książki Bandiniego „Ostatnie 95 godzin Mussoliniego” - Cademartori sądził, że może zacząć mówić (przebywał wówczas w Wenecji). Potwierdził on autentyczność zasadniczej części przedstawionego tu planu, dodając, że owej nocy w oczekiwanym na motorówkę, która miał przybyć Mussolini przez cały czas siedzieli na stopniach przystani.
Nie był to jednak jedyny wariant planu, a ściślej był on rezerwowym rozwiązaniem. Dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Mussoliniego, pułkownik „Valerio” (Walter Audisio) wezwał do Kwatery Głównej p. Kowalka Alfredo Malgeri i w obecności Ferno Solari przekazał mu rozkaz przejęcia Mussoliniego. Malgeri był wówczas dowódcą batalionu straży celnej w Mediolanie, skoszarowanego w Bastioni di Porta Volta. W okresie istnienia Włoskiej Republiki Socjalnej (Repubblica di Salò - utworzona w Salò, na obszarze północnych Włoch, po powrocie Mussoliniego do władzy we wrześniu 1943 r.), wszedł on w kontakt z Komitetem Wyzwolenia Narodowego (C.L.N.) oddając się do jego dyspozycji wraz z podległymi mu ludźmi. W nocy z 25 na 26 kwietnia pułkownik Malgeri na umówiony sygnał z C.L.N. wyprowadził z koszar podległe sobie oddziały i zajął gmach prefektury w Mediolanie oraz inne kluczowe punkty miasta. Dźwięk syren, jaki lewbawem rozległ się w całym mieście oznaczał koniec długiej i ciemnej nocy ery faszystowskiej. Ostatni leś bastion - upadł. Nie wiec dziwnego, że po tej akcji myślnie o nim poważnie jako o tym „mocnym człowieku”, który mógłby zorganizować „przerzut” Mussoliniego. Poza tym posiadał sprawne i zdyscyplinowane oddziały. Ale Malgeri odpowiedział - nie. Przyczyną były dwie. Po pierwsze, uważał, iż co innego zwolcił Mediolan, a co innego eskortować Duce 80 km, znad jeziora aż do stolicy Lombardii wśród powszechnego szalu radości z upadku znielowzonego systemu i nienawisci do jego tryzocy. Po drugie istniało zbyt duże ryzyko związane z ewentualnością niedostarczenia Mussoliniego do miejsca przeznaczenia, przy czym możliwość użycia broni była w zasadzie wykluczona. Wieczorem, 27 kwietnia do kwatery głównej generała Cadorny dotarł meldunek o szybkim zbliżaniu się do rejonu Como amerykańskich oddziałów pancernych. Kto wiec podejmie się misji ukrycia Mussoliniego? Dochozła godzina 20, kiedy general Raffaele Cadorna podjął ostateczną decyzję. Brzmiała ona: „Nie można obecnie szukać schronienia dla Mussoliniego nad jeziorem Como, ze względów ostrożności spróbujmy raczej umieścić go w bezpiecznym miejscu w pobliżu Mediolanu”. Powołano obawiano się, że cały plan przewidujący przekazanie Duce Amerykanom może skończyć się fiaskiem. Jak się wydaje obawy te były w pełni uzasadnione, bowiem pojawiły się istotne przeszkody dla zrealizowania wspomnianej decyzji. Iskra, która podpaliła lont, był komunikat radia amerykańskiego, w któ-

rym zwracano się z prośbą o przekazanie Mussoliniego aliantom. Emilio Sereci, bardzo wzburzony, dzwonił do Leo Vallani informując go o tym nieodrocznym żądaniu Amerykanów. W międzyczasie Sandro Pertini, również członek C.L.N.A.I., udaje się do rozgłośni i wygłasza płomiennie przemówienie. Jeden z jego fragmentów stanowił jakby prorocтво tego co niebawem miało się zdarzyć. „Przywódcą tej bandy przestępców, Mussolini - mówił Pertini - został aresztowany, w chwili gdy błąd z wszelkimi siłami i przejęty panicznym strachem usiłował przekroczyć granicę szwajcarską. Musi on zostać przekazany Trybunałowi Ludowemu, który by go natychmiast osądził. Tego się domagamy, mimo iż sądzimy, że dla takiego człowieka pluton egzekucyjny jest zbyt wielkim honorem. Zasluguje on na to, aby go zabito jak parszywego psa”.
Tymczasem tak w mediolańskiej Kwatery Głównej na ulicy Carmine jak i w całym mieście - wrzało na dobre. Wszyscy usilowali się dowiedzieć, gdzie może znajdować się Mussolini. Zasadniczym problemem był dyktando należy zrobić z byłym dyktatorem. Przywódcy lewicowi bynajmniej nie twierdzili, że definitywnie musi zostać zabity, lecz nie było wśród nich jednomyślności co do jego dalszego losu. W tej sytuacji Pertini zaproponował, aby wysłać kogoś z misją przejęcia Duce z rak partyzantów 52 brygady. Ale kogo? Powinien być to „mocny człowiek”, posiadający autorytet i zdyscyplinowanych ludzi. Pierwszym, do którego się z tym zwrócono był Italo Pietra wojskowy komendant „Oltrepo Pavese” (organizacji partyzanckiej należącej do G.A.P. - patriotyczne grupy działania). Lecz Pietra odmawiał stwierdzając, że sprawa w chwili obecnej jest zbyt delikatna. Z kolei Lucchino Dal Verme - potomek starego, mediolańskiego rodu szlacheckiego i dowódca jednej z brygad partyzantów Italo Pietry, zaprzeczył, że nie podjąłby się tej misji także odmawia. Mówi również - nie Alberto Mario Cavalotti. Pozostaje więc jeszcze tylko jeden człowiek. Jest nim Walter Audisio czyli „pułkownik Valerio” - dowódca żandarmerii Kwatery Głównej. „Valerio” wyraża zgodę. Pozostaje do omówienia strona techniczna wyprawy po Duce, po którym notabene zaginął wszelki ślad. Dopiero o godzinie 6 następnego dnia (28 kwietnia) natrafiono nań ponownie.
W międzyczasie pułkownik „Valerio” rozpoczął przygotowania do wypełnienia powierzonego mu zadania. Najpierw udał się do koszar by spośród partyzantów z „Oltrepo Pavese” dobrać sobie odpowiednich ludzi. Później wrócił do komendatury, by następnie skierować swe kroki do Hotelu Regina na spotkanie z kapitanem Daddario - odważnym Amerykaninem, który przyjął kapitulację marszałka Grazianiego. „Valerio” próbuje zasięgnąć od niego informacji o miejscu pobytu Duce. A gdzie w tym czasie był Mussolini?
Zgodnie z ustalonym poprzednio planem i pod osłoną nocy „Pedro” posta-

nawia przewieźć byłego dyktatora w umówione miejsce. Aby w drodze nie został rozpoznany przez ewentualnie napotkane czujki partyzanckie, bandażują mu głowę. Będzie grał rolę ranego partyzanta. Równocześnie kapitan „Neri” przywozi z Dongo Clarette Petacci, metresę dyktatora, która za wszelką cenę chciała się zobaczyć z Mussolinim, twierdząc, że jest mu potrzebna. Do spotkania obu samobobów dochodzi na moście nad potokiem Albano. Dalej ruszają razem. Nad bezpieczeństwem konwoju czuwa kapitan „Neri” - szef sztabu 52 brygady garybaldczyków i autor projektu przetransportowania Mussoliniego do Brunate. Droga wiedzie w kierunku Moltrasio, do którego przybywają o 3 nad ranem 28 kwietnia. Po piętnastumiesięcznym postoju w tej miejscowości „Neri” podejmuje dziwną decyzję - nakazuje powrót. Dlaczego? Trudno na to pytanie odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Być może nie było motorówki, która mieli się przeprawić na drugi brzeg jeziora Como. Może spotkali kogoś kto wydał im decyzyję. (Monelli sugeruje, że decyzja została podjęta pod wpływem informacji jednego z napotkanych posterunków, o wkroczeniu Amerykanów do Como). Pozostaje faktem, że „Neri” zalecił wówczas aby trzymać się raczej zakleńnięcia jeziora Como i poruszać się wzdłuż jego brzegu. Ekspedycja nie licząc Mussoliniego i Claretty składała się z ośmiu osób. Byli to dwaj kierownicy - Dante Mastalli i Edoardo Leoni pochodzący z Gravedony, towarzyszący kapitan „Neri” partyzanta „Gianna” (Giuseppe Tuisi), dwaj młodzi ludzie „Lino” i „Sandrino”, oraz Michele Moretti, „Pedro” i „Neri”. Spośród nich do dziś żyją jedynie „Pedro” i Michele Moretti. Około 4 nad ranem cała ta grupa dotarła do Azzano (region gminy Mezzegra). Tutaj wszyscy z wyjątkiem Michele Moretti wysiedli i udali się górską ścieżką w kierunku Bonanico ku stojącej na pustkowiu chałcie. Był to dom wieniąka Giacomo De Maria. „Neri” nieprzypadkiem wybrał go na miejsce kryjówki Mussoliniego. Swego czasu sam się w nim kilkakrotnie ukrywał. Lia De Maria - żona gospodarza - była mamką jego szwagra. Ważnym było to, że dom stał z dala od innych zabudowań wsi. Była godzina 5, gdy Mussolini i Claretta zostali zaprowadzeni do pokoju na piętrze domu. Eskortują ich wspomniani już „Lino” i „Sandrino”. Mają polecenie strzec Duce jak oka w głowie. Tymczasem dyktator i Clara Petacci kładą się spać. Mussolini robi dotąd wrażenie człowieka całkowicie obojętnego na wszystko co się wokół dzieje. Wydaje się nie zastanawiać nad swoim przyswój losom. Być może sądzi, że nie mu obecnie nie grozi. W międzyczasie pozostali uczestnicy „ekspedycji” wraz z „Neri” i „Pedro” odjeżdżają. Dokąd? Odpowiedź na to pytanie jest największą zagadką tej historii.

ANDRZEJ BLAJER

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy Mieczysław Nieznański, sekretarz propagandy KP w Radomsku zapytał mnie z uśmiechem (nie miałem legitymacji), czy nie jestem przypadkiem aferzystą autobusowym i spytał, jak bym chciał spojrzeć na tę kulturę, bo to jedni redaktorzy albo pieją na biało, albo grzmocą na czarno, zaproponowałem oba kolory, żeby było weselej.

Byłem w Pławnie na inauguracji „Sztafety” i przypaść, że podczas imprezy widział się osiagnięcia gminy — mówi Nieznański. — Program na wysokim poziomie, Niezłe wypadły też Gidle. Ale jeśli idzie o rozwój kultury, to najwyżej stawiam gminę Klomnice. Tutaj dobre tradycje przechodzą z pokolenia na pokolenie, a rozwój działalności kulturalnej nastąpił jeszcze w czasach ZMP. Dobra robotę robi nauczyciel Tkacz, prowadzący różne kółka zainteresowań, uczyący śpiewu, kształcący głos, dykcję, rytmikę. Jego uczniowie są najlepsi w powiecie. W Klomnicach istnieje jeden z niewielu wielki Dom Kultury. Są trzy zespoły wokalne-muzyczne, teatr amatorski, zespół pieśni i tańca, prowadzi się także imprezy. Jak jedyną w województwie „Światło młodości”, czy też „Dożynki młodzieżowe. Muszę dodać, że z Klomnicami na stałe związane jest takie zwariowane chłopak z gitarą, który jeździ ciężko po wsiach i jak się to mówi, „robi kulturę”. To Zbigniew Szymczyk, przewodniczący ZP ZSMW. On tu przyjdzie, to sobie porozmawiać.

Chciałem się wymądrzyć.

Urzędy gminne — mówię — sporządziły bilans potrzeb kulturalnych. Wynika z niego, że w województwie można uruchomić gminne ośrodki kultury jedynie w 32 gminach, gdyż tylko tyle posiada odpowiednią bazę. Na uruchomienie potrzeba 8 mln zł i 66 etatów. W 42 gminach można budynki wyremontować, na co trzeba przeznaczyć 32 mln zł plus 10 mln zł na wyposażenie. Dochodzi jeszcze sprawa 130 etatów. Z kolei w pozostałych 80 gminach na wybudowanie „goków” (odpowiedni skrót już żyje!) trzeba 250 mln zł, 40 mln na ich wyposażenie oraz 300 etatów. Od stycznia br. Ministerstwo Kultury i Sztuki zatwierdziło 17 etatów dla gminnych ośrodków kultury. Brak natomiast decyzji o odnośnej organizowania „goków”. Nie ma pieniędzy. A jak jest w Radomszczańskim?

A w Radomszczańskim — sekretarz patrzy na mnie z politowaniem — są 74 kluby „Ruchu” i „Młodego Rolnika”. Na 11 gmin. W gminie Klomnice 9 klubów, ale w gminie Lgota już tylko 2, a w Dobrychszynie 1. Jesteśmy w stanie uruchomić klub w Adamowie. Natomiast „goków” nie ma żadnego. A jak nie ma „goków”, to nie ma też żadnego etatu, chociaż dobrze by było, aby fachowcy, absolwenci wyższych uczelni zajęli się kulturą w gminie. Pracują w urzędach gminnych referenci ds kultury, ale oni mają za mało czasu na właściwą pracę, gdyż biegają np. za ubezpieczeniem społecznym. Nauczyciele bronią się i odsuwają od pracy społecznej. I pewnie też mają swoje racje. Oni również cierpią na brak czasu, za godziny nadliczbowe im nie płać, gminne szkoły zbierze to niecierlikiawski program poszerzony, trzeba dużo wysiłku, aby sprostać wymogom, jakie stają przed oświatą.

Aby uniknąć tzw. podciągania dialogiem, będzie teraz dłuższa wstawka publicystyczna. Otóż niemal w połowie wsi województwa łódzkiego jedynymi placówkami kulturalnymi są punkty biblioteczne. Biblioteki działają już we wszystkich gminach, prowadząc 334 filie i 1871 punktów bibliotecznych. W Radomszczańskim sieć bibliotek i punktów jest nieźle rozwinięta, ale jeśli idzie o księgozbiór, to jego stan zbliżony jest do danych ogólnych: poniżej średniej krajowej. W kraju na 100 mieszkańców przypada 180 książek, w województwie zaś 152 książki. Podobnie jest z zakupem: w województwie 250 zł, przy średniej krajowej 326 zł na 100 mieszkańców.

Tymczasem „Głos Robotniczy” bije w wielki dzwon. Województwo łódzkie w konkursie „Každy klub rolnika punktem księgarskim” po raz siódmy zdobywa pierwsze miejsce w kraju. Kluby rozprowadziły wśród mieszkańców wsi książki za 1350 tys. zł, czyli tyle co 1/4 wszystkich klubów w kraju. Tylko kto się do tego przyczynił? Właśnie powiat radomszczański, który również w Olimpiadzie Czytelniczej LSW znalazł się na czołowym miejscu. A konkretnie: Zuzanna Kaszuwara, kierowniczka klubu w leżącej 400 mieszkańców wsi Bogwidzowy. Ona rozprowadziła książki za sumę 110.361 zł. Kaszuwara pobiła takie województwa, jak olżyński, szczeciński, koszaliński, krakowski i lubelski!

Ten „nokaut” powinien cieszyć. Ale mało kto wie, że Bogwidzowy to wieś i nie wie, włączona administracyjnie do miasta Radomska, żyjąca w blasku industrializacji, wchłaniana przez radomszczański „Mostostal”.

Kaszuwara wygrała, bo ona wrzuciła paczki z książkami na wóz, mię-

dzy kury, świnki, nabił i jedzie na jarmark. Albo wiąże paczki do kierownicy i jeździ rowerem po wsiach, zawsze wszystko sprzedając. Nie umniejszam więc zasług Zuzanny Kaszuwary, jak również osiągnięć akcji propagandowej klubów w województwie (w tym dobrych wyników księgarni w Radomsku), które zorganizowały 2131 imprez popularyzujących książki, na 9373 w kraju, ale wcale mnie nie cieszy taka typowo sportowa rywalizacja, kiedy laury zbiera się wyłącznie podczas konkursów.

W Klomnicach chcieliśmy urządzić gminny ośrodek kultury. Na remont budynku jest trochę grosza, ale na inwestycje nie ma. Pojechałem do województwa po tani, typowy projekt, ale takich projektów jeszcze nie opracowano. Wszędzie i na wszystko brakuje pieniędzy, tymczasem przy podziale nadwyżki budżetowej GS 10 tys. przeznaczają na kluby, a 30 tys. na wycieczki dla rady nadzorczej...

Wysłuchując zwierzeń Szymczyka dotarliśmy do Dąbrowy Zielonej, gdzie tego i owego brakuje, ale nie jest aż tak źle, bo Rylikowa kupiła tu kiedyś piękny kożuszek z kapturkiem dla dzieciaka. Tym razem brakowało naczelnika gminy, a referentka ds kultury została porwana w te-

Jarosława. — Mielimy tutaj zgaud-zgaudę, quizy, spotkania z zasłużonymi ludźmi. Teraz naczelnik chce nas stać wyrzucić, bo miejsce potrzebne jest na przedszkole. My mamy wyprowadzić się do remizy. Tam są prawie pionowe schody i piekielny zlab, bo nie ma nawet pieca. Po każdej zabawie musimy myć podłogę i woda leje się do pomieszczeń poczy. Ale co tam my, kiedy młodzież z Rachowie np. nie ma żadnego pomieszczenia. A kiedy chcieliśmy założyć teatr amatorski, sprawa rozbiła się o głupie kostiumy...

Wtraćłem, że młodzież mogłaby popracować społecznie, choćby przy wzniesieniu Ośrodka Zdrowia czy nowego budynku gminy, a na pewno

PKD traktowały kabaret trochę po macoszem. Występy w restauracji „Stylova” gromadziły rzesze starszych widzów. Kawiarnia w PKD ma widownię młodzieżową i starsi przestali przychodzić na występy.

Dział Poradnictwa zajmuje dość przestronne pomieszczenia, ale zagracany jest instrumentami: gitary, perkusja, akordeon, gramofony, magnetofony. Brak magazynu. Zespoły amatorskie wzbogaciły się i rzadziej pożyczają instrumenty.

Gnebi mnie konkursomania. Cały luty, zamiast do klubów, jeździłem do szkół, gdzie odbywały się gminne eliminacje konkursu recytatorskiego. Marzec: konkurs recytatorski I i II stopnia na szczeblu powiatu, konkurs rysunkowy, „Sztafeta 30-lecia”, „Bliziej teatru”, „Dekada kultury w gminie”, rozpoczął się konkurs na najlepszy klub, a w najbliższą niedzielę mam powiatowy przegląd zespołów amatorskich. Każda taka impreza poprzedzona jest przygotowaniem materiału, powielaniem na matrycach i rozesianiem do 100 szkół, 74 klubów, 24 świetlic (przyzakładowych, GRN, POM), a zakończy się odpowiednim sprawozdaniem. Uważam, że powinniśmy jechać do każdego klubu, gdzie jest przyjmowana „Sztafeta”. 74 kluby, to 74 dni...

Co pani robi w terenie, a co tutaj na miejscu?

Na miejscu udzielam porad repertuarowych, w terenie daję instruktaż metodyczny. Mogę pomóc zespołowi teatralnemu, recytatorskiemu, teatrykowi kukielkowemu. Plastikom, zespołom muzycznym nie pomogę, bo nie jestem instruktorem. Za mi uzdolnionej plastycznie młodzieży w Dąbrowie Zielonej, bo nikt do niej nie przyjeżdża z poradą. Przy PDK pracuje społecznie plastik, ale on nie pojedzie w teren. Goniły za etatami, domagamy się na te etaty absolwentów wyższej uczelni. Myśli pan, że oni z chęcią przyszyliby na wieś? I załatwiliby sprawę kultury w gminie? To musi zrobić człowiek rozmówiany w pracy kulturalnej. Taki stary działacz, odpowiednio przeszkolony, zdobyty więcej niż absolwent wyższej uczelni.

A jak pani ocenia pracę klubów na wsi?

Miał czas pierwszego telewizora, kiedy ludzie wybijali szyby, aby dostać się do klubu. Czas się zmienił, tymczasem baza lokalowa pozostała taka, jak za króla Cwieczka. Nie dziwie się gospodarzom klubów, że nie pracują. We Włynicach jest klub w drewnianym, odstrasającym baraku, podłoga tak zmurszała, że strach wejść. Prowadzi go prosta kobieta, matka siedmiorga dzieci. Ale to dobry organizator. Potrafi zabić świniaka i zrobić pokazowy wyrób wedlin. To też kultura. Takich klubów, z ofiarnymi gospodarzami, ale ze złą bazą lokalową, jest bardzo wiele. Nie zgadzam się z tym, aby kluby wyprzedzać do remizy. Klub powinien być odrębny, dobrze wyposażony placówką. Rolnik, który kiedyś mieszkał w drewnianej chałupie, a teraz ma piękny, murywany dom, nie przyjdzie do walnej się rudery. Uważam też, że teatr amatorski jest dzisiaj tylko sztuką dla sztuki. Kosztuje wiele wyrzeczeń, bo nie ma gdzie przeprowadzić prób, aktorzy mają tremę, gdyż widzą lepsze wzory w telewizji. Widzowie też potrafią być aktorami, należy ocenić, bo również widzą te wzory i efekt jest żaden. Cenie natomiast i to wysoko, kluby miłośników teatru telewizyjnego...

Myślę, że ludzom z odległych wsi i nam samym, tzn. mnie i koleżankę, kiedy, zwłaszcza w okresie zimy, nie możemy utrzymać kontaktu, dużo pomogłoby porady korespondencyjne. Ale kto wykona takie broszury instruktażowe?

Nie widzę, proszę pana, dobrej pracy w poradni bez instruktorów. I może zabrzmi to gorzko, ale ja uważam, że w tej sytuacji w kulturze winni pracować ludzie samotni. Bo tak to albo wali się dom, albo kultura się wali...

Ta wypowiedź właściwie nie wymaga komentarza. Z reporterskiego obowiązku dodam więc tylko, że w wyniku tego rekonesansu dochodzę do wniosku, iż przez powiat i gminy Muzy galopują czasem na ognistym rumaku, częściej jednak na kulawym, albo nawet ochwaconym koniu. Ale dla kultury na wsi zapala się już zielone światło. Idzie tylko o to, aby naczelnicy gmin oraz aktywni polityczno-społeczni spraw kultury nie traktowali po macoszem. Tego wymaga wkraczające na wieś nowe życie. Gmina nie może tylko produkować. Musi być ośrodkiem gospodarczo-kulturalnym.

Fot. Włodzimierz Parys

MUZYKA NA KULAWYM KONIU

RYSZARD BINKOWSKI

Lepiej by było, gdyby specjaliści „Domu Książki”, tak jak Kaszuwara, ruszyli ku wsiom na co dzień...

Kultura powinna zaczynać się od książki — mówi sekretarz Nieznański — ale tak nie jest. Przynajmniej w zakładach pracy tak nie jest. Zakład pracy przeznacza 150 tys. na wycieczki, 110 tys. na estradę, bilety do kina, 50 tys. na imprezy okolicznościowe, a na zakup książek... 3 tys. złotych. Takie załatwianie sprawy rodzi w odbiorze dóbr kulturalnych postawę konsumpcyjną, są bilety do kina i z głowy. Sport ważniejszy. Jest trener za 5 tys. miesięcznie, na muzyka czy aktora pieniędzy szkoda.

Zakłady pracy nie przejawiają specjalnego zainteresowania sprawami kultury. „Gina” zdolni absolwenci szkół średnich, nie ślaga się ich poprzez stypendia, nie angażuje nauczycieli do świetlic i przyzakładowych domów kultury. Co to kogo obchodzi, że kultura winna zajmować czołowe miejsce w procesie wychowania? A przecież w takim Mieciu np. stworzono centrum kulturalne oraz jego filie we wsiach. Baza kulturalna zakładu pracy stęży wsi. I mnie się to podoba. Nie podoba mi się natomiast to, że musimy wpuścić do miasta, a w ostateczności na wieś nonszalanekich estradowców ze starym programem, często bez scenariusza, różnych wycieczek, chale decybelowa i innych „cyganów”, którzy zamiast dobrych rzeczy dla rolników dają bzdurne, pseudo-intelektualne „historie” dla urzędników GS...

ren przez urzędniczkę „Ruchu”. Sekretarz Urzędu Gminy powiedziała, że teraz coś się dzieje z tą kulturą, bo będzie przyjęcie „Sztafety 30-lecia”. W Cielętnikach młodzież dostała trochę pieniędzy na farbę i maluje klub. A w ogóle na 5 klubów w gminie przeznacza się 3 tys. zł rocznie i to jest mało, bo nie starcza na opał. Biblioteki są 3. Imprez mało. Była jedna pt. „Ludziom dobrej roboty”, ale zabrakło biletów.

Potem szukaliśmy działaczy ZSMW. Okazało się, że zdążyli, albo raczej zdążyły, bo to głównie dziewczyny, wycygnię do księdza duży kamień, który przez kilka godzin piłowały, żeby był kanciasty. Ten kamień z wyrzytym napisem będzie odsłonięty podczas przyjęcia Kroniki.

Wpadłem do biblioteki mieszczącej się w dwu ciasnych pomieszczeniach prywatnego mieszkańca. Podłoga ugięła się niebezpiecznie, a bibliotekarka, Krystyna Obertyn, robiła akurat hasło na jutrzejszą imprezę. Jej biblioteka istnieje od 1947 r. i liczyła wówczas 408 książek. Dziś liczy 7807 pozycji, w tym 1/3 tzw. ubytków.

uzyskałaby poparcie i pomoc finansową. Wyjaśniono mi, że to nie takie proste. Naczelnik gminy zainteresował się sprawami kultury dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że w związku z przyjęciem Kroniki ma przyjechać telewizja, co było oczywiście bluffem. Przedtem było tak, że obiecał ciągniki, gdyż młodzież zamierzała uporządkować w czynie społecznym boisko. W niedzielę, podczas rekolekcji, 43 ludzi czekało od godz. 8.00 do 11.00 na ciągnik. Wreszcie przyjechał, ale się zakopał. O 13.00 dotarli dwa ciągniki, ale wówczas chłopcy musieli jechać na mecz w Cielętnikach...

Dowiedziałem się jeszcze, że w Dąbrowie Zielonej jedynym instruktorem był kiedyś organista, ale go zdjęto. Na szczęście w szkole ma wkrótce rozpocząć pracę instruktor muzyczny. Być może szczęśliwie zostanie rozwiązana sprawa klubu i biblioteki, które znajdują lokum w opuszczonych pomieszczeniach Ośrodka Zdrowia i Urzędu Gminnego.



Tyle sekretarz. Przyszedł Zbyszek Szymczyk, młody szczupły chłopak, ale już żonaty i dzieciaty któremu żona, kiedy tylko skończy studia, zrobi zapewne propozycję nie do odrzucenia, bo Zbyszek całymi dniami i nocami włóczy się po wsiach, organizując życie kulturalne. Teraz też wziął gitarę, po drodze zabrał jeszcze kierowniczkę Działu Poradnictwa i Instruktażu Powiatowego Domu Kultury, panią Alicję Rylik i pojechałymi przez pola i lasy na zapadły skraj powiatu, do Dąbrowy Zielonej. W drodze Szymczyk tak wykladał swoje poglądy na temat kultury w gminie:

Cieszę, że ludzie chcą działać. Ale brak fachowego instruktora. Uzdolnieni działacze kruszą się uciekają. Na wsi pozostają kierownicy klubów, często bez należytego przygotowania. Kto zresztą chce pracować w klubie za 1000 zł? Złazacza, że GS najczęściej traktuje kluby jako placówki handlowe. Bijemy się o bazę. Jest baza. We wsiach stoją oście remizy. Ale strażnicy nie wpuszczają młodzieży do remizy. Członkowie ZSMW w Rzeszyczkach pomogli we wzniesieniu remizy, gdyż wg umowy miało w niej zlokalizować klub. Urząd Gminy załatwił sprawę pozytywnie. Remiza stoi, lecz OSP nie wpuściła do niej młodzieży!

Dotychczas książki nie były należycie propagowane. Biblioteka jechała statystycznie na martwych duszach, bo faktycznie było tylko 50 czytelników. Ja po miesiącu pracy miałam już 130, do końca roku dojdzie do 500 a wraz z punktami bibliotecznymi, których będzie 7, zbierze się około 800 czytelników.

Jestem po szkole średniej i zajmuję się tylko biblioteką. Robię wieczory bajek, wystawy, konkursy, mam zamiar stworzyć teatrzyk kukielkowy. Przysłałby się też projektor do wyświetlania bajek. Nowości nie mogę kupić, bo to robi Biblioteka Powiatowa, mam też trudności z uzyskaniem czasopism rolniczych. Gmina mi nie pomoże. Nikt z pracowników Urzędu Gminy nie korzysta z biblioteki. Są już np. nowe regaly, ale nie ma ich kto przywieźć.

Drobna, smagła dziewczyna, Zenona Jaros, radna PRN i przewodnicząca ZG ZSMW, tak mówi o życiu kulturalnym w gminie:

Choć raz w miesiącu chcieliśmy widzieć u siebie instruktora. Nauczyciele nam nie pomagają, referentka ds kultury nie ma pojęcia o pracy w kulturze, więcej wie na ten temat gospodyni klubu. Niech pan obejrzy nasz klub.

Obejrzałem. Jedno pomieszczenie, niezbyt przestronne, ale schludne, wyposażone w środki audiowizualne. Rozlatujące się stoliki nakryte obrusami.

Nasz klub zajął II miejsce w powiecie, w konkursie na najlepszy klub — mówi

Aby raz jeszcze spojrzeć na sprawę kultury, ale już ze szczebla powiatu, umówiłem się na spotkanie z panią Alicją Rylikową. Wprowadzenie miałem następujące: „Ruch” i PZGS mają po jednym pracowniku do pracy kulturalnej w terenie, Biblioteka Powiatowa — 4 pracowników, Powiatowy Dom Kultury zatrudnia 30 osób, w tym 2 osoby do pracy na wsi, Rylikowa i jej koleżankę, która akurat urlopuje. Ponadto PDK posiada samochód na linimie kilometrów, z którego korzystają wszyscy, najmniej oboje panie z Działu Poradnictwa i Instruktażu.

Alicja Rylik występowała kiedyś w znanym kabarecie „Nietoperz”. Kabaret rozpadł się. Dlaczego?

Niech pan na mnie popatrz. Zestawiliśmy się...

Było to nieumyślne nacłaganie na komplementy, przed którymi pani Alicja musiała się potem bronić. „Nietoperz” rozszarpał się, bo zebrała się zbyt liczna grupa ludzi, między którymi wkradły się różne nieporozumienia. Potem kabaret znalazł się pod egidą PDK. Kiedy opiekowały się nim związki zawodowe Służby Zdrowia, było dobrze. Związki zawodowe

OLIMPIJCZYCY



MARIA KWAŚNIEWSKA

Na stadionie rozgrywała się fascynująca walka o sportowe laury. Serce młodej oszczepniczki bije w przyspieszonym tempie. Drobne palce kurczowo wpijają się w oszczep. Rozbieg, błyskawiczny skręt i wyrzut. Gdy grot wbił się w zieloną murawę, z trybuny doszedł ją okrzyk rodaków: „Brawo Maryśka!”

W lornetkach, monoklach i obiektywach była Kwaśniewska. Mniej wtajemniczeni zaglądali do programów, aby dowiedzieć się, co to za oszczepniczka. „Pologne, Polen, Polska”.

W całej Polsce, szczególnie w jej rodzinnym mieście — w Łodzi i w jej macierzystym klubie LKS liczą na nią, czekają na medal. Niemki: Fleischer i Krueger, są jednak nie do pokonania. Z tego zdają sobie sprawę wszyscy. Walka toczy się o III miejsce, o medal brązowy.

Na maszt wpięła wolno białoczerwona flaga. Maryśka stanęła na podium olimpijskim przy grzmotach braw. W tym dniu zabrakło kwiatów. Wykupili je Polacy dla swej bohaterki. Działo się to w 1936 r. na Olimpiadzie w Berlinie. LKS-sianka, Maria Kwaśniewska, zdobyła dla Polski brązowy medal. Brązowy — ale wówczas miał on cenę złota.



TERESA WIECZOREK-CIEPLA

Uczennicy liceum, Teresie Wieczorkównie, lekarz zabronił uprawiania sportu. Zwolniono ją także z lekcji wychowania fizycznego. Teresa chodziła na stadion LKS i zazdrościła zawodniczkom. W końcu jednak okazało się, że Teresa Wieczorkówna jest zdrowa jak przysłowiowy rydz. Zapisuje się do LKS i szybko zaczyna odnosić poważne sukcesy.

W czasie igrzysk olimpijskich w Rzymie Teresa Wieczorkówna startuje w biegu na 100 m. Zajmuje trzecie miejsce w przedbiegach (12,1). W ćwierćfinale jest również na trzecim miejscu, ale w półfinale odpada z konkurencji i zostaje wyeliminowana z udziału w finale. Najlepszy jej czas wyniósł — 11,9. W biegu na 30 m ppl., start olimpijski Wieczorkówny kończy się w półfinale. Najlepszy czas — 11,2. Ponadto T. Wieczorkówna startuje razem z C. Gerwinową, H. Górecką i B. Sobotową w sztafecie. Polska zajmuje 3 miejsce w finale uzyskując czas — 45,0. A więc pierwszy medal.

Nadchodzi rok 1964 — olimpiada w dalekim Tokio. W Japonii lodzianka wspólnie z koleżankami odnosi olbrzymi sukces. W biegu sztafetowym ekipa polska biegnąca w składzie: I. Szewińska, H. Górecka, E. Kłobukowska i T. Wieczorkówna zajmują pierwsze miejsce. Złoty medal marzenia ambitnej zawodniczki LKS. Przywozi do Łodzi pierwszy w historii sportu łódzkiego — złoty medal olimpijski.

Startuje też w biegu przez płotki na 80 m. Zdobywa drugi tym razem srebrny medal, uzyskując identyczny czas do zwyciężczyni K. Balzer (NRD) — 10,5.

Żyję w studni. Żyję w niej na kształt mgły. Na kształt pary w kamiennym gardle. Nie poruszam się, niczego nie robię, a tylko czekam. Nade mną migoczą chłodne gwiazdy nocy, błyszczą poranne słońce. Czasami śpiewam stare pieśni tego świata, pieśni jego młodości. Jak mam wyjaśnić, kim jestem, skoro sam tego nie wiem? Jestem mgłą i księżycowym światłem, i pamięcią. I jestem stary. Bardzo stary. W chłodnej ciszy studni czekam swej godziny i jestem pewien, że kiedyś ona nadejdzie...

Teraz jest ranek. Słyszę narastający loskot. Czuję ogień i wylatam zgrzyt metalu. Moja godzina nadchodzi. Czekam.

Dalekie głosy.
— Mars! Nareszcie!
Obcy język, nie znam go. Przysłuchuję się.

— Wyślijcie ludzi na rozpoznanie! Skrzypienie piasku. Blżej i bliżej.
— Gdzie flaga?
— Tutaj, sir.
— W porządku.

Słońce stoi wysoko na błękitnym niebie, jego złociste promienie wypełniają studnię, a ja paruję w nich, jak pyłek z kwiatów, niewidzialny w ciepłym świetle.

— W imieniu Ziemi ogłaszam terytorium Marsa za należące na równych prawach do wszystkich narodów!

Co oni mówią? Wyleguję się w ciepłym świetle słońca, bezczynny i niewidoczny, złocisty i wytrwały.

— C tam takiego?
— Studnia!
— To niemożliwe!
— Naprawdę! Chodźcie tutaj.

Odczuwam przypływ ciepła. Nad studnią pochylają się trzy sylwetki, mój chłodny oddech dotyka ich twarzy.

— Rzeczywiście!
— Jak myślicie, woda dobra?
— Zaraz sprawdzimy.
— Przyniesie butelkę i linkę!
— Już się robi.

Kroki oddalają się. Potem przybliżają znów. Czekam.
— Opuszczajcie. Ostrożnie, ostrożnie.

Zalane w szkło błyski słońca padają w głąb studni. Linka powoli się opuszcza. Szkło dotknęło powierzchni i po wodzie pobiegła drobna fala. Powoli płynę w górę.
— Tak, gotowe. Regent, zrobisz analizę?

— Daj.
— Chłopcy, spójrzcie tylko, jak pięknie ocembrowana jest studnia! Ciekawe ile ma lat?

— Kto tam ją wie? Wczoraj, kiedy lądowaliśmy, Smith zapewniał, że marsjańska cywilizacja wymarła dobrych dziesięć tysięcy lat temu.

— No i co z wodą, Regent?
— Czysta jak lza. Chcesz spróbować?

Srebrny dźwięk orzeźwiającej strugi w słonecznej spiekocie.

— Jones, co z tobą?
— Nie wiem. Ni stąd, ni zowąd zabolęła mnie głowa.

— Może od wody?
— Nie, nie płem jej. Poczulem to już, gdy tylko schyliłem się nad studnią. O, już mi lepiej.

Teraz wiem, kim jestem. Nazywam się Steven Leonard Jones, mam 25 lat, przyleciałem z planety Ziemia i razem z moimi towarzyszami — Regentem i Shawem — stoję nad starą marsjańską studnią. Oglądam swoje opalone, silne ręce. Patrzę na swoje długie nogi i na swój srebrzysty uniform, na swych towarzyszy.

— Co z tobą, Jones — pytają.
— Wszystko w porządku — odpowiadam. — Nic szczególnego.

Jak przyjemnie! Tysiące, dziesiątki tysięcy lat nie zaznałem tego uczucia. Jedzenie przyjemnie pokrywa język, a wino, którym je popijam, rozlewa się po całym ciele. Przysłuchuję się głosom mych towarzyszy. Wym wiam nieznaną mi słowa i, mimo wszystko, rozumiem je. Smakuję kę dy haust powietrza.

— Co się stało, Jones?
— A co takiego? — pytam.
— Oddychasz tak, jakbyś się przeziębził.

— Pewnie i tak — odpowiadam.
— Zajrzyj więc wieczorem do lekarza.

Kiwam głową — jakże przyjemnie kiwnąć głową! Po dziesięcioletniej przerwie przyjemnie jest robić wszystko. Przyjemnie wdychać powietrze, przyjemnie czuć słońce, przegrzewające do szpiku kości, przyjemnie odczuwać ciepło własnego ciała, którego byłem tak długo pozbawiony i słyszeć wszystkie dźwięki dokładnie i czysto, niż z głębi studni. Siedzę upojony przy studni.

— Ocknij się, Jones, czas na nas.
— Tak — mówię, z zachwytem odczuwając, jak słowo, ześliznąwszy się z języka, powoli rozplywa się w powietrzu.

Regent stoi przy studni i patrzy w dół. Pozostali poszli z powrotem, do srebrzystego statku kosmicznego. Czuję uśmiech na swych ustach.

— Jest bardzo głęboka — mówię.
— Tak.
— Czeka w niej nicość, która ongi miała własną postać — mówię, dotykając jego ręki.

Statek — srebrzysty płomień w drżącej mgłę. Podchodzę do niego.

Plasek chrząści pod nogami. Czuję zapach rakiety rozpalonej w południowym skwarze.

— Gdzie Regent? — ktoś pyta.
— Zostawiłem go przy studni.
Jeden z nich biegnie w kierunku studni.

Dostaje dreszczy. Słaby dreszcz, wydobywający się od wewnątrz, stopniowo nasila się. Po raz pierwszy słyszę głos. Czai się we mnie — maleńki, wystraszony — i błaga: „Wypuście mnie! Wypuście!”. Zupelnie, jakby ktoś, zagubiony się w labiryncie, biegł korytarzem, walł w drzwi, błagał, płakał.

— Regent w studni!

Tym razem dreszcze zaczynają się znacznie wcześniej. Bardzo mi trudno powstrzymać ten głos.

— Proszę skryć się w cieniu, sir. Zie pan wygląda.

— Tak — mówię. — Połóżcie.

— Co, sir?
— Nic nie mówiliem.

— Powiedział pan „pomóżcie”.

— Czyżbym to powiedział, Matthews?
Trzęsą mi się ręce. Spieczona usta łapczywie chwytają powietrze. Oczy wychodzą z orbit. „Nie trzeba! Nie trzeba! Pomóżcie mi! Pomóżcie! Wypuście mnie!”.

RAY BRADBURY

TEN, KTÓRY CZEKA

Wszyscy biegają do studni. Biegnę z nimi, lecz mi trudno. Jestem chory. Cały drzę.

— Na pewno spadł tu. Jones, przebież byłeś z nim. Widziałeś coś? Jones! Czy słyszysz? Jones! Co z tobą? Padam na kolana. Ciało moje trzęsie się, jak w febrze.

— Jest chory — mówi jeden, podtrzymując mnie. — Chłopcy, pomóżcie.

— Dostał udaru słonecznego.

— Nie! — szepczę.

Trzymają mnie, wstrząsanego dreszczami, niczym trzęsienie ziemi, a głos, głęboko we mnie ukryty, wy-

rywa się na wierzch: „To Jones, to ja, to nie on, nie wiercie mu, wypuście mnie, wypuście!”.

Patrzę w górę na schylające się nade mną postacie i moje powieki drgają. Ktoś chwytą mnie za przegub.

Serce w porządku.

Zamykam oczy. Krzyk wewnątrz urywa się. Dreszcz zanika. Jestem znów wolny, wznoszę się w górę, jak z chłodnej otchłani studni.

— Umarł — mówi ktoś.

— Przyczyna?

— Wygląda na szok.

— Leczą skąd zaraz szok? — mówię. Nazywam się Sashance, mam energiczne usta, jestem kapitanem

Wystrzał.

— Boże, skończył z sobą — krzyczę i, otwierając oczy, widzę kapitana leżącego koło rakiety. W jego okrwawionej głowie zieje dziura, a oczy ma szeroko rozwarte. Nachylam się i dotykam go.

— Głupiec. Po co to zrobił? Ludzie wystraszeni. Stoją obok dwóch trupów, oglądając się na marsjańskie piaski i widniejącą w dali studnię, na której dnie spoczywa Regent. Spoglądają na mnie. Jeden z nich mówi.

— Teraz ty jesteś kapitanem, Matthews.

— Wiem.

— Jest nas teraz tylko sześciu.

— Jak szybko to się stało!

— Nie chcę być tu! Wypuście mnie.

Ludzie pokrzykują. Pewnie podchodzą do nich.

— Posłuchajcie — mówię i dotykam ich rąk, łokci, ramion.

Milczymy. Teraz my — to jedno.

— Nie, nie, nie, nie, nie, nie! — krzyczą głosy z oków naszych ciał.

Milcząc, patrzymy jeden na drugiego, na nasze blade twarze i drżące ręce. Potem wszyscy, jak jeden, obracamy głowy i rzucaamy spojrzenia na studnię.

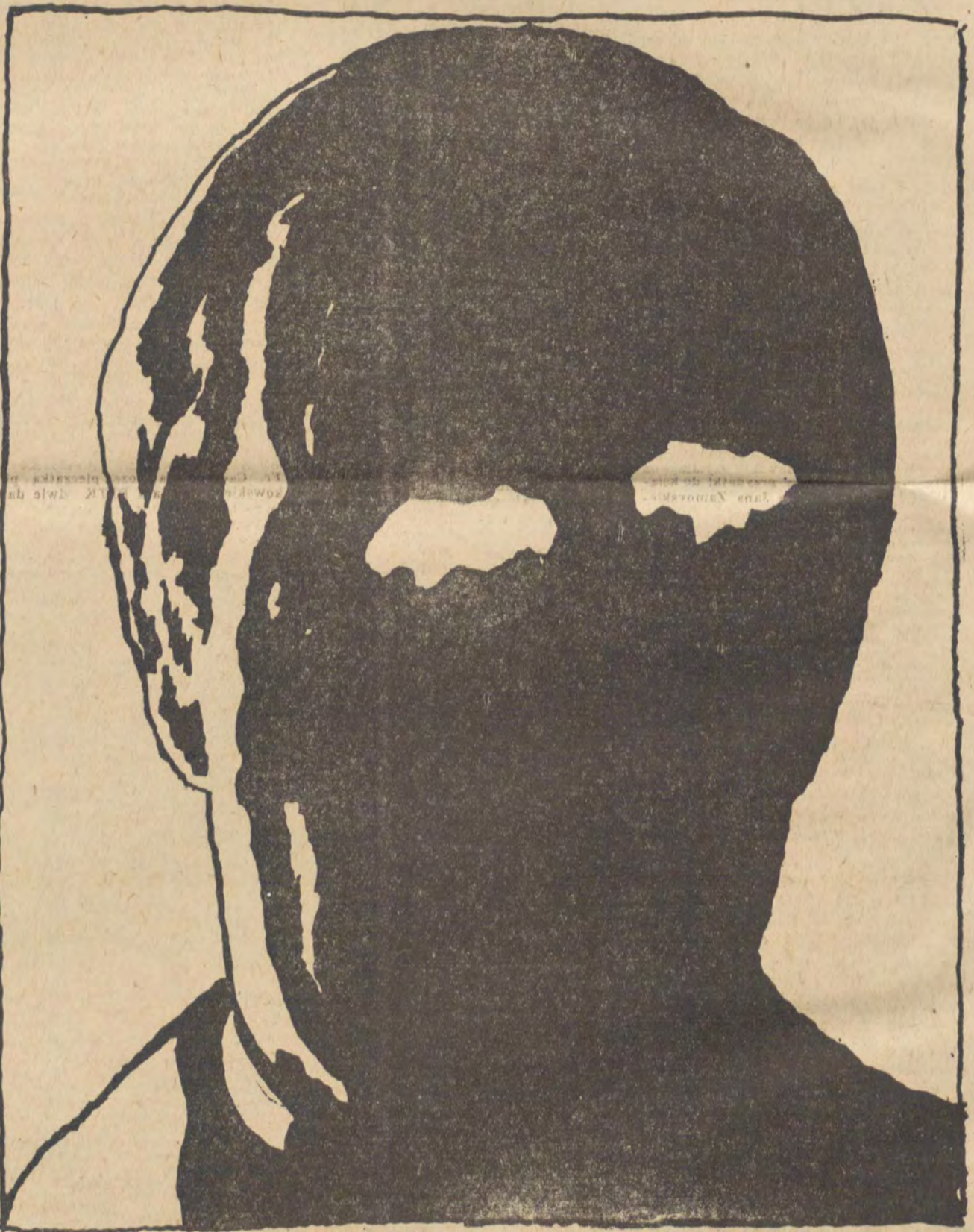
— Czas — mówimy.

— Nie, nie, nie — krzyczy sześć głosów.

Nasze nogi kroczą po piasku, jak dwanaście palców jednej ogromnej ręki.

Pochylamy się nad studnią. Z chłodnej głębi patrzy na nas sześć twarzy.

Jeden za drugim prześlizgujemy się przez krawędź i jeden za drugim spadamy na spotkanie błyszczącej tafli wody.



Nys. A. GRUN

rywa się na wierzch: „To Jones, to ja, to nie on, nie wiercie mu, wypuście mnie, wypuście!”.

Patrzę w górę na schylające się nade mną postacie i moje powieki drgają. Ktoś chwytą mnie za przegub.

Serce w porządku.

Zamykam oczy. Krzyk wewnątrz urywa się. Dreszcz zanika. Jestem znów wolny, wznoszę się w górę, jak z chłodnej otchłani studni.

— Umarł — mówi ktoś.

— Przyczyna?

— Wygląda na szok.

— Leczą skąd zaraz szok? — mówię. Nazywam się Sashance, mam energiczne usta, jestem kapitanem

— Nie trzeba — mówię.

— Co, sir?

— Nic. Muszę się wyzwoląć — mówię i zakrywam usta rękami.

— Co z panem, sir? — krzyczy Matthews.

— Natychmiast wracajcie wszyscy na ziemię! — krzyczę.

Wyciągam pistolet.

Wystrzał. Krzyki urwały się. Ze światem padam gdzieś w przestrzeń.

Jak przyjemnie umierać po dziesięciu tysiącach lat oczekiwania! Jak przyjemnie czuć chłód i słabość! Jakże przyjemnie odczuwać, jak życie gorącej strugą opuszcza cię, a na jego miejsce płynie spokojny czar śmierci. Leczą to nie może trwać długo.

Żyję w studni. Żyję w niej na kształt mgły. Na kształt pary w kamiennym gardle. Nie poruszam się, niczego nie robię, a tylko czekam. Nade mną migoczą chłodne gwiazdy nocy, błyszczą poranne słońce. Czasami śpiewam stare pieśni tego świata, pieśni jego młodości. Jak mam wyjaśnić, kim jestem, skoro sam tego nie wiem? Po prostu czekam.

Słońce zachodzi. Na niebo wytańczają się gwiazdy. Daleko rozbliska ogoniek. Nowa rakietka zbliża się do Marsa...

Przełożył:
JACEK INDELAŁ

Ogłosiłem przed laty artykuł wskazujący na możliwość pracy naukowej polonisty prowincjonalnego. Charakterystykę szeregu bibliotek nie tylko ogólnopolskiego znaczenia, ale typowo prowincjonalnych znajdzie zainteresowany czytelnik w odpowiedniej partii książki pt. „Warsztat bibliograficzny historyka literatury polskiej”. Jedną z takich bibliotek dysponuje Piotrków Tryb., którego barokowe zabytki przykuwają uwagę historyków sztuki, a którego zasoby archiwalne i biblioteczne nie zostały dotąd należycie wyeksplloatowane.

W terenowym oddziale piotrkowskiego archiwum nie trzeba nawet sięgać do rekopisów, by coś interesującego dla historyka literatury pozyskać. Kompletny egzemplarz piotrkowskiego czasopisma „Tydzień” był już przedmiotem badań doc. Stanisława Fryciego, dostarczył też materiału do pracy mgr Ireny Korbędzkiej, która w oparciu o „Tydzień” odtworzyła dzieje piotrkowskiej sceny na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Pracujący nad działalnością Romana Plenkiewicza dr Michał Fidelus zdołał dzięki archiwum i dzięki muzeum w Piotrkowie zdobyć dla swego warsztatu badawczego niektóre tomy „Rocznika Piotrkowskiego”, pisma nie notowanego w centralnym katalogu czasopism bibliotek polskich w Bibliotece Narodowej.

Na tle piotrkowskiego muzeum i archiwum bardziej ubogo wyglądała do niedawna Miejska Biblioteka Publiczna, spełniająca — co trzeba z naciskiem podkreślić — bardzo doniosłą rolę oświatową. Biblioteka pomieszczona w odpowiednim dla niej lokalu (w odrestaurowanej synagodze) służy miastu i powiatowi w skali takiej w jakiej służyć powinna. Nikt jednak dotąd nie przyjrzał się bliżej cymelion biblioteki, książkom będącym rzadkością bibliograficzną, których sporo (około tysiąca) otrzymała biblioteka przed paru laty.

Cymelia owe przekazała — jak najszlachetniej — Miejskiej Bibliotece Publicznej Biblioteka Piotrkowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Większość (stare druki i książki z pierwszej połowy XIX wieku) pochodzi z biblioteki pijarskiego kolegium w Piotrkowie. Po likwidacji kolegium bibliotekę przekazano, jak to łatwo stwierdzić do biblioteki miejscowej szkoły wojewódzkiej, przekształconej później na rosyjskie gimnazjum gubernialne. Jednakże nie wszystkie książki noszą ślady proveniencji, o której mowa; proveniencja niektórych jest znacznie ciekawsza. Zwraca tu uwagę niewielka pozostałość księgozbioru po Feliksie Bentkowskim.

Największy „rodzynek” zbioru to pierwodruk gróńkowski Ignacego Krasickiego „Zbiór potrzebniejszych wiadomości” (t. 1-2, Warszawa—Lwów, 1781). Oba tomy podpisane: F. Bentkowski. Pismem Bentkowskiego zanotowano na koszulce tomu I: „Podarunek od Arcybiskupa Gnieźnieńskiego Ignacego Krasickiego w Skierniewicach 15 listopada 1799”.

W r. 1799 Bentkowski liczył zaledwie 18 lat. Dalsza proveniencja dzieła jest do odwołania: oba tomy opatrzone ekslibrisem: „Z Biblioteki Kaźmirza (sic) Stronczyńskiego” i pieczętką: „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Oddział w Piotrkowie Trybunalskim”. Kaźmierz Stronczyński (1809—1896) był numizmatykiem i archeologiem.

Interesował się Bentkowski recepcją u współczesnych Słazówczych „Uwag nad życiem Jana Zamojskiego”. Własnoręczny podpis „Feliks Bentkowski” zawiera broszura pt. „Myśl z okazji Uwag nad życiem Zamojskiego”, na której również (ale nie pismem Bentkowskiego) dopisano „pismo pierwsze”. Zaś własnoręczny podpis „Bentkowski” czytamy na broszurze „Pamięć o przydatku do książki Uwag nad życiem Jana Zamojskiego” („Dan w Heilsbergu dnia 10 listopada Roku 1788”). Obie broszury mają poza podpisem Bentkowskiego jedynie pieczętkę piotrkowskiego Oddziału PTTK.

Miał również „Korbut z początku XIX wieku” w swym księgozborze ogromny słownik niemiecki. „Versuch eines vollständigen grammatisch kritischen Wörterbuches der Hochdeutschen Mundart mit beständiger Vergleichung der übrigen Mundarten, besonders aber der oberdeutschen” (t. 1-4, Leipzig 1774—1780). Podpisał nazwiskiem jeden tylko tom, pierwszy. Wszystkie mają ekslibris: „Z biblioteki Kaźmirza Stronczyńskiego”, wszystkie — pieczętkę piotrkowskiego Oddziału PTTK.

Na uwagę zasługuje jeden jeszcze wo-

lumen z księgozbioru Bentkowskiego: Alexandra Bronikowskiego „Powieści historyczne. Oddział 1. Kaźmierz Wielki; Esterka” (t. 1-2, Warszawa 1828, oprawy w jednym wolu-

minie). Tom zawiera dedykację: „Wielmożnemu Feliksowi Bentkowskiemu na pamiątkę wdzięczności i szacunku A. drian Krzyżanowski 18 11/3 28”.

Adrian Krzyżanowski (1788—1852) był matematykiem, ale z amatorską historią. Był bibliofilem, właścicielem księgozbioru liczącego ponad 10.000 tomów.

Warto też zauważyć, że egzemplarz „Pamiętki po dobrej Matce” (ogłoszone anonimowo dzieło Klementyna z Tańskich Hofmanowej) — w wydaniu trzecim (Warszawa 1820, Łatkiwicz) zawiera podpisy: „K. Bentkowski, A. Stronczyńska”, co wskazuje na konsekwencje między Bentkowskim i Stronczyńskim, jak również pieczętkę piotrkowskiego oddziału PTTK.

Zbiór zawiera dwie książki z biblioteki Aleksandra Chodkiewicza, współpracownika Bentkowskiego na niwie bibliograficznej. Książki to niebiałe: Tom II „Poezyj” Franciszka Dionizego Kniazińskiego „edycji zupełnej” (Warszawa 1787, Grill). Pieczętkę piotrkowskiego oddziału PTTK poprzedził tu ekslibris: „Z ksiąg Aleksandra Chodkiewicza”. Natomiast Tadeusz Szostakowski, z zawodu profesor chemii, w dziejach literatury upamiętniony jako tłumacz Horacego, ofiarował Chodkiewiczowi tomik „Programma na nowy przekład wierszem polskim wszystkich pieśni i eposów Q. Horacyusza Flakka” (Wilno 1817, J. Zawadzki), upamiętniając dar dedykacją: „Do Biblioteki JW Hrabiego Aleksandra Chodkiewicza autor.”

Znany tom zawierający Wergiliusza „Księgi wszystkie” w polskich przekładach, tj. „O Eneasz Tuwajńskim” (Jędrzej Koehnowski); „Ziemiaństwo” (Walerian Otwinowski); „Pasterki” (Ignacy Nagurewski), tom wydany w r. 1754 u Krzysztofa Bogumila Nicolai, opatrzone jest — poza pieczętką piotrkowskiego oddziału PTTK — podpisami: „F. Bentkowski”, „Jo. Zielenacki”. Idzie tu najprawdopodobniej o Franciszka Bielńskiego (1740—1809), działacza Komisji Edukacji Narodowej, młodego autora utworów klasycznych, i o Józefa Zielenackiego (1818—1884), prawnika, profesora UJ, a więc późniejszego właściciela książki.

Ekslibrisem „Biblioteka W. Korotyńskiego”, najprawdopodobniej znanego literata-dziennikarza imieniem Wincenty, opatrzone są dwie książki. Pierwsza z nich, Hezjoda „Dzieła dochowane wszystkie” (Kraków 1790, druk Antoniego Gresla), miała przed Korotyńskim innego właściciela, o czym przekonywa zapiska: „Z ksiąg Teofila z Bobrowa”. Książka druga jest późniejsza. Jest to wydany w r. 1831 przez benedyktyna A. Zaleskiego tomik pt. „Przekład pieśni Sarbiewskiego i inne poezje”. Oba tomy otrzymały najdawniejszą pieczętkę piotrkowskiego oddziału PTTK.

Jako rzecz interesującą warto odnotować, iż tom VI i ostatni „Słownika Języka Polskiego” Samuela Bogumila Lindego (U-Z, Warszawa 1814, druk. XX Pijarów) zawiera notkę „Ex dono Ladisłai Ostrowski, mareschali comitiore anni MDCCCXXXI, Craevioie 11 Septembris anni 1869”. Po czym następuje podpis (może nie własnoręczny): „Wacław Ostrowski M(areschalus) C(omitiorum) Reg(ni) Polon(iae)”. Rozbieżność musi tu rozstrzygnąć prawda historyczna: marszałkiem sejmiku w czasie powstania listopadowego był Wła-

dyśław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

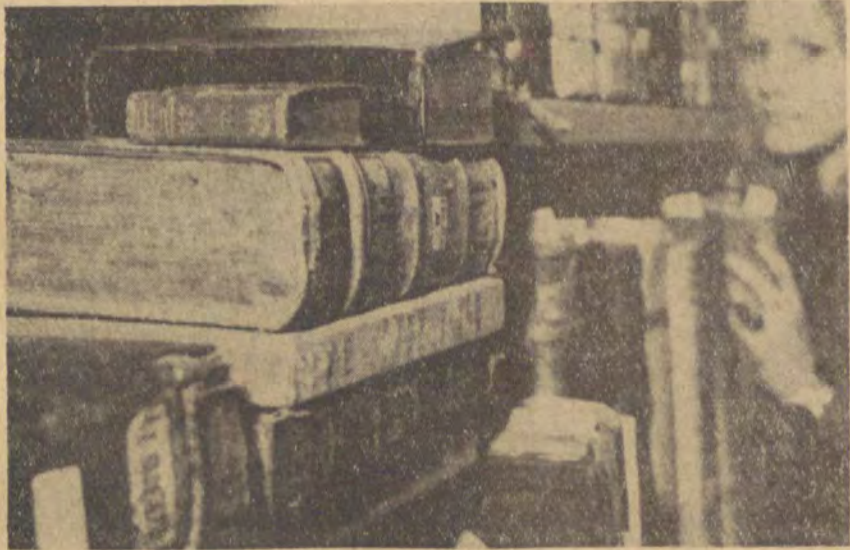
dysław, nie Wacław Ostrowski (1780—1869). Ale nie jedyna to zapiska proveniencyjna; następuje druga: „Z podziękowaniem przyjąłem i jako własność moją podpisuję Szczęsny Skalkowski, ucz(e)n(ki) VIII Gim(nazjalne)”. Książki siedemnastowieczne trafiają się w zbiorze stosunkowo rzadko. Ze względu na interesującą proveniencję wymienić trzeba dwa woluminy. Pawła Piaseckiego „Chronica gestorum in

nauka

Lukasza Gołębińskiego poświęcone dziejopisem polskim, Ossolińskiego „Wiadomości”, Maciejewskiego „Pismennictwo”, Wiszniewskiego „Historia literatury polskiej”. Gdyby jeszcze do szedł Bentkowski (szkoda, że nie zachował się egzemplarz z biblioteki autora), Juszyński, Jocher, można by uważać, iż Miejska Biblioteka Publiczna w Piotrkowie posiada wszystkie najdawniejsze bibliografie polskie. Bez tych trzech ma jednak taką ich kolekcję, jakiej nie posiada niejedna z wielkich bibliotek.

Niezmierne bogato i interesująco przedstawia się zasób dawnych czasopism. Znajdujemy tu bardzo wiele numerów: „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych”, „Monitor różnych ciekawości” z roku 1795, „Miesięcznik Połocki” (efemeryda z r. 1818), co nieco „Dziennika Wileńskiego”, a przede wszystkim prawie cała „Gazeta Warszawska” z lat 1794—1830. Zasób ten może stanowić podstawę niejednej dysertacji magisterskiej.

Wskazać tu warto na istnienie pracy Jerzego Łojka pt. „Gazeta Warszawska” księdza Łuskiego (Warszawa 1959). Skoro 20 pierwszych lat roczników „Gazety Warszawskiej” dostarczyło materiału do sporej książki, typu monografii czasopisma, można sobie wyobrazić kontynuowanie tej pracy wła-



Fot. Włodzimierz Parys

Europy singularium” (Craevioie 1645, Fr. Caesari) ma poza pieczętką piotrkowskiego oddziału PTTK dwie dawne zapiski proveniencyjne: „Ex libris Francisce de Paula Zader curati Miedzynensis” i „Ex libris Antoni Nowadzki”. Kolejność właścicieli trudno ustalić, jeden szczegół wszakże warto wziąć pod uwagę: o właścicielu książki wymienionym na pierwszym miejscu czytamy coś więcej. Istnieje w książce notatka: „Hic liber Francisco Zader amittitur donatus a Reverendissimo Patre Frantz concionatore Gidlensi”.

Wreszcie jeden z najstarszych druków kolekcji, nie stanowiący polonium, to Franciszka Suareza „Metaphysicorum Disputatorium (...)” (Monuniae MDCV). Proveniencja tym razem nie piotrkowska lecz kaliska, zapisana słowami: „Inseript(um) Catalogo librorum Collegii Calisiensis Societ (atis) Jesu”.

Z dziedzin najdawn

POKÓJ ZAWARTO W Budziszynie

30 stycznia 1918 roku pełnomocnicy cesarstwa niemieckiego i młodego państwa polskiego zawarli w nadspreszawskim Budziszynie pokój, który położył kres długim i wyczerpującym wojnom polsko-niemieckim o Łużycę i Miłsko (1902-1918). Punktem zwrotnym tych wojen stała się bohaterka obrona śląskiej Niemczy (sierpień - wrzesień 1917). Wojska cesarskie nie mogły zdobyć tego ważnego grodu polskiego mimo użycia wszelkich ówczesnych środków technicznych. Słynny kronikarz niemiecki, biskup Thietmar z Merseburga, zacytował wróg a zarazem „chwalcę mimowolny” Polski Bolesława Chrobrego, dostrzegł wysoką wartość moralną polskich obrońców Niemczy. I jakby nią zafascynowany zanotował z niezwykłą bezstronnością: „Nigdy nie słyszałem o obleżonych, którzy by z większą od nich wytrwałością i bardziej przetrzymali z radością zabiegali o swoją obronę!”

Największa wyprawa niemiecka na Polskę zakończyła się całkowitą klęską i kompromitacją cesarza, Henryka II. Bolesław Chrobry, bezwzględnie wykorzystując niepowodzenia wojenne cesarza, zaproponował mu zawarcie pokoju jak również wymianę jeńców, co zostało skwapliwie przyjęte przez osłabione cesarstwo. W tym samym czasie cesarz otrzymał wiadomość o niepowodzeniu wyprawy ruskiej na Polskę oraz o różnej sytuacji na odległych peryferiach świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego.

Na początku 1918 roku na rozkaz cesarza przybyło do Budziszyna, a więc na teren państwa Chrobrego, uroczyste poselstwo niemieckie pod przewodnictwem arcybiskupa magdeburgskiego Gerona, pamiętającego klęskę wielkiej wyprawy niemieckiej sprzed dwóch lat gdzieś w bagnach Bobru (i to właśnie i września...). W poselstwie uczestniczyli głównie możnowładcy sacy, znani z negatywnego stosunku do polityki wschodniej Henryka II; znalazł się także margrabia Herman z Miśni, zięć - a wkrótce szwagier - Chrobrego, mąż Regelindy, owej „śmiejącej się Polki”, której urzekająca rzeźbę kamienną podziwiać można w katedrze naumburskiej. Już fakt obecności Hermana w oficjalnej delegacji cesarstwa, mogłoby świadczyć, jak bardzo zależało stronie niemieckiej na szybkim sfinalizowaniu pertraktacji pokojowych z Polską pierwszych Piastów. Pokój zawarto w Budziszynie.

Warunki pokoju, zaprzysiężone w grodzie budziszynskim 30 stycznia 1918 roku, musiały być dla Niemców bardzo niekorzystne. Relacje zwykle gadatliwego kronikarza niemieckiego cechuje akurat w tym miejscu nader wymowne milczenie. Thietmar wyjąłk za ledwie, ale za to jakże ważne słowa, że w Budziszynie „zawarto pokój, nie taki, jaki być powinien, lecz jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji”. Potwierdziła to jeszcze zwięzlejsza informacja Roczników Kwedlinburskich, podająca, że cesarz wrócił z Polski nie osiągnąwszy żadnego sukcesu.

Gwarancją świętego uregulowanych stosunków Bolesława Chrobrego z Henrykiem II było polityczne małżeństwo Bolesława z Ołą, córką margrabiego misnieńskiego Ekkeharda, a siostrą wspomnianego Hermana. Miało to nadać porozumieniu w Budziszynie cechy trwałości. Małżeństwo to (Thietmar oczywiście opatrzył je uszczepionymi uwagami) zawarło cztery dni później w jednym z grodów łuzycyckich, dokąd czwarta żona Chrobrego przybyła wśród zapadającej właśnie nocy, wilmiana „przez tłum obojga plemi”, który „przyjął ją rzędem zapalonych pochodni”.

Wiadomość o pokoju budziszynskim wywołała w Niemczech uczucia radości z zakończenia długotrwałych wojen. To „tak wielki” lub „zbiwenny pokój” - pisał poeta jednego z klasztorów niemieckich, który „odpowiada usposobieniom wszystkich”.

W długich i bardzo ciężkich zmaganiach młode państwo piastowskie obroniło własnymi siłami swą niepodległość przed agresją potężnego cesarstwa niemieckiego. Obok wojów książęcych do obrony kraju stanęła również ludność chłopska, a powszechny charakter walki zapewnił zwycięstwo Bolesławowi, przyczyniając się do rozwoju poczucia więzi narodowej i do tworzenia się powszechnego przekonania, iż wojny z cesarstwem niemieckim stanowią obronę politycznej niepodległości państwa. Dzięki pokojowi budziszynskiemu Śląsk, z dotychczasowej prowincji granicznej, stał się na pewien czas wewnętrzną dzielnicą Polski. Pokój ten odsunął także od niej chwilowo groźbę wojny na zachodzie, umocnił pozycję Chrobrego, ułatwił mu konsolidację wewnętrzną państwa i zdobycie Korony królewskiej. Przyczynił się tym samym do podniesienia autorytetu międzynarodowego młodego państwa zachodniosłowiańskiego. To znów jednak spowodowało nowe napięcie stosunków i już niedługo miało zniechęcić niemal całkowicie dzieło budziszynskie.

ALOJZY ST. MATYNIAK

nauka

I TY ZOSTANIESZ EDISONEM

W blisko 30-tysięcznym łódzkim środowisku akademickim działa 100 studenckich kół naukowych, liczących około 2,5 tys. członków. W ubiegłym roku akademickim studenci - naukowcy prowadzili różne prace badawcze na 34 obozach, z czego 12 usytuowanych było na Ziemi Łódzkiej. Łącznie wzięło w nich udział 853 studentów i 67 pracowników naukowych. Najwięcej obozów zorganizowali studenci Uniwersytetu Łódzkiego (27), następnie - Politechniki Łódzkiej (16), a najmniej, bo tylko 1 - Akademii Medycznej.

Studenci AM ukończyli podjęte 20 lat temu badania porównawcze stanu zdrowotnego mieszkańców wsi Zelechlinek, w powiecie Rawa Mazowieckiej oraz obecnej sytuacji sanitarno-higienicznej miejscowego środowiska. Przy współpracy socjologów z UL opracowano również materiały traktujące o poziomie życia ludności tej wsi.

Od kilku już lat studenci-historycy z UL zajmują się ruchem oporu w okresie II wojny światowej oraz zagadnieniami związanymi z utrwalaniem się władzy ludowej na Ziemi Łódzkiej. Ostatnio zajmowano się interesującą tematyką powiązań istniejących pomiędzy poszczególnymi organizacjami podziemnymi, działającymi podczas okupacji hitlerowskiej. Pracowano również nad dziejami ruchu oporu kolejarzy węzła kątnowskiego.

Koła naukowe i obozy stanowią bardzo istotną, ale nie jedyną formę studenckiego ruchu naukowego. Ważną jego częścią są również seminaria naukowe, na których prezentowane są m.in. wycinkowe badania z obozów naukowych lub też indywidualne prace studentów. W roku ubiegłym w Łodzi i woj. łódzkim odbyło się 8 seminariów o charakterze ogólnopolskim, a częściowo nawet i międzynarodowym oraz około 10 środowiskowych - zorganizowanych na poszczególnych łódzkich uczelniach.

Jeszcze inną formą studenckiego ruchu naukowego są zespoły naukowo-badawcze. W Łodzi jest ich około 10. Jeden z zespołów działa np. na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi, gdzie prowadzi prace badawcze z dziedziny cytologii roślin, zlecone przez PAN. Organizowane są wyprawy i wyjazdy naukowe oraz okrojone zespoły badawcze. Przygotowuje się powołanie studenckich biur konstrukcyjno-projektowych przy Studenckiej Spółdzielni Pracy „Puchatek”.

Tyle fakty i przykłady. Obrazują one ruch studencki, który obok osiągnięć ma też i swoje braki.

— Zdajemy sobie sprawę z tego — mówi przewodniczący Komisji Nauki Zarządu Łódzkiego SZSP, mgr Henryk Luboń — że do prac naukowo-badawczych trafia zbyt mała grupa studentów (około 8 proc.) Ale do zajęcia się tą pracą naukową nie zawsze żądają studentów ani uczelnie, ani organizacje studenckie. Dlatego widzimy potrzebę znalezienia nowej formy współpracy intelektualnej słuchaczy z uczelniami i własnym regionem. Nie ma formalnych przeszkód, aby włączyć studentów w większym niż dotychczas stopniu do prac badawczych i techniczno-gospodarczych instytucji uczelnianych. Podjęliśmy ostatnio akcję „Mistrz zaprasza ucznia do pracowni”. Zwrocono się do 600 pracowników naukowych, których poproszono o zajęcie stanowiska w sprawie podejmowania przez studentów prac badawczych z boku „Mistrza”. Na apel odpowiedziało 340 osób. Z tej liczby prawie 90 proc. stwierdziło, że gotowe jest zaproszenie studentowi współpracującemu naukowo-badawczą w swej specjalności.

Nie wykorzystuje się możliwości, jakie najdodatkowo daje zdobywanie wiedzy na zasadzie indywidualnych programów studiów. W bieżącym roku uczy się w ten sposób jedynie 39 osób na UL i 12 na PL.

Proponujemy ze swej strony tworzenie stypendiów regionalnych dla studentów, podejmujących określoną tematykę, np. dotyczącą wielu skomplikowanych zagadnień Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. W tej dziedzinie naukowe możliwości studentów nie są wykorzystywane. Pragniemy również, aby fundatorzy

Coraz częściej — dodaje H. Luboń — zaczyna się także współdziałać ze środowiskiem młodzieży szkół średnich w celu jak najwcześniejszego „wylawiania” uczniów szczególnie utalentowanych. Będą oni włączani do prac kół naukowych, obozów naukowo-badawczych i seminariów studenckich.

A co sądzą o studenckim ruchu naukowym pracownicy wyższych uczelni? Mówi kierownik Pracowni Metodyki Nauczania Chemii UL, doc. dr hab. Zygmunt Kozłowski.

— Badania prowadzone przez młodzież akademicką posiadają charakter utylitarny, odpowiadający konkretnym zapotrzebowaniom. Ponadto coraz częściej, dotyczą one problemów regionu łódzkiego, co ze wszelkich miar jest rzeczą słuszną.

Obozy naukowe np. mają ogromne aspekty wychowawcze. Służą one m.in. poznaniu terenu, w którym przecież znaczna część absolwentów wyższych uczelni podejmie pracę zawodową. Ponadto przyczyniają się do

miast w naukach eksperymentalnych stanowisko pracy badawczej jest bardzo drogie; do tego dochodzi brak odpowiedniej ilości aparatury i sprzętu oraz ciasnota pomieszczeń. Te obiektywne przyczyny nie pozwalają włączyć większej liczby studentów do prac naukowo-badawczych instytucji uczelnianych. Z konieczności więc praca kół ogranicza się do działalności referatowo-organizacyjnej, wspólnego udziału w projekcjach filmowych, dyskusjach i seminariach naukowych. Studentom należałoby też zapewnić patronat naukowy. Obecnie przeciętni pracownicy dydaktyczni nauczyciele akademicy współpracują ze studenckim ruchem naukowym na zasadzie swego rodzaju hobbyzmu.

Można postawić tezę, że efektywność kształcenia w szkole wyższej wzrośnie, jeżeli uda się w praktyce i na szeroka skalę wykorzystywać możliwości ścisłego współdziałania kadry naukowo-dydaktycznej i studentów zarówno w pracach badawczo-



Fot. Archiwum

stypendiów naukowych przeznaczają pewne środki na prowadzenie badań związanych z funkcjonowaniem zakładu, czy też przedsiębiorstwa, w którym przyszły absolwent szkoły wyższej znajdzie zatrudnienie. Niewątpliwie będzie to korzystne dla obydwu stron.

Rozpoczęto także prace nad raportem o stanie zdrowia i warunkach socjalno-bytowych młodzieży akademickiej. Przykładowo — tylko na PL na schorzenia przewodu pokarmowego cierpi około 800 osób, a blisko 6 tys. łódzkich studentów korzysta z por. lekarza-psychiatry. Dlatego proponujemy powołanie Studenckiego Zespołu Badań Środowiskowych Młodzieży Łodzi i Województwa.

nawiązywania kontaktów z miejscową młodzieżą i całym społeczeństwem.

Najważniejsze jest jednak to, że obozy posiadają ogromne walory naukowe. Z reguły uczestniczy w nich 3 pracowników wyższej uczelni, którzy przygotowują dla studentów na miejscu wykłady i seminaria. Jest okazja, aby dyskutować o problemach, na które nie ma często czasu w nawale zajęć w trakcie roku akademickiego.

Studencki ruch naukowy napotyka jednak na różne trudności. Na kierunkach ścisłych i przyrodniczych kół naukowe nie spełnia właściwych funkcji. Humanistom np. wystarcza do uprawiania działalności naukowej archiwum, biblioteka, książka. Nato-

-rozwojowych jak i dydaktyce. Nastąpi to wówczas, gdy student będzie rzeczywiście towarzyszył obydwu procesom u boku swojego nauczyciela i „Mistrza”.

Warto jeszcze dodać, że problematyka tą zajęło się Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W roku ubiegłym opracowało ono specjalny program zwiększenia udziału studentów w procesie dydaktyczno-wychowawczym i pracach badawczo-rozwojowych. Dokument ten w zasa- dzie s. osób określa zasady współpracy wyższych uczelni i SZSP w dziedzinie dalszego rozwoju studenckiego ruchu naukowego.

STANISŁAW BĄKOWICZ

MISTRZOWIE i DOKTORANCI

Dalszy ciąg ze str. 7

Mechanizm uruchomiono. W wyniku jego działania skompilowano tony (nie mylić z tomami) prac interpretatorskich, pod którymi gna się masywne dechy. Ich autorzy, nie zajmujący nigdy do archiwum, nie przeprowadzający żadnego ściśle badania naukowego, tym samym niczego nie odkrywają — zrzucili temat, nigdy w poważniejszym piśmie nie odesłali się doń (wstyd i niebezpiecznie wywoływać wilka), za to w te pędy chwycili się pracy habilitacyjnej (jeżeli nie dostali docenta

mianowanego) na skrajnie odrębny temat. Wypadałoby zapytać: co z tego ma nauka, co wprowadził do banku informacji naukowej, gdzie jest ciągłość badań, o którym pisał nasz korespondent? Znam pracę doktorską, typową dla tej kategorii prac, typowo także kompilacyjno-interpretatorską — 19-tą (słownie: dziewiętnastą) z kolei w powojennych dziejach Polski!

MISTRZ II (szkoła II) rzecze do ucznia swego: — Azali znasz mistrzów moich? Przetę postuchaj, co zapisali w księgach swoich, w których to gągola, iż „radość z odkrycia na pewno jest

największą, jakiej człowiek może w ogóle zaznać”. To Claude Bernard. Tedy „pracuj, doprowadź do końca, ogłoś” — nie jam to wymyślił, to jeden z Mistrzów moich — Michał Faraday. Boviem „publikowanie wyników doświadczeń i obserwacji, u dostępnym ich krytyce, to fundamentalna zasada, na której opiera się nowoczesna nauka. Skrytość sprzeciwia się najlepszym interesom i duchowi nauki. Uniemożliwia udział w dalszym postępie”.

Później cierpliwie wprowadzał w tajniki warsztatu badawczego, wodził po archiwach, uważnie obserwował postępy i cieszył się jak dziecko z każdego sukcesu ucznia jego. A gdy siły opuszczały, a szarańcza zwątpień nachodziła onego — z tą samą łagodnością uspokajał:

— Nie ma potrzebny napędzać do roboty badacza obdarzonego chociażby iskram zapалу badawczego, ponieważ cała wartość jego tkwi w tym, że gdy raz natrafi na jakiś rzecz-wyśłe obiecujący ślak, porzuca — o ile to możliwe — na pewien czas inne obowiązki i zainteresowania. Lecz w pracy badawczej postęp jest trudny i często stajemy wobec czegoś, co wydaje się murem nie do przebycia. W takim momencie trzeba

użyć całej pomysłowości i najrozmaitszych metod”.

Kiedy zaś czas przeznaczony na rozmowę (tu: szkolenie) dobiegał ku końcowi, z melancholijnym uśmiechem (chyba nie tylko ze zżeczenia?) kończył refleksja W. B. Cannona:

„Badacza można zamknąć na strychu, można go zmusić do życia o suchym chlebie i w lachmanach, może on zostać pozbawiony uznania w społeczeństwie, lecz jeśli ma czas, zdolny jest poświęcić się pracy badawczej. Zabierając mu jego wolny czas, niszczymy go doszczętnie jako współtwórcę wiedzy”...

Wedle Mistrza szkoły II, autor pracy doktorskiej, pracy, którą pragnie określić szczerym mianem naukowej — winien prowadzić wieloletnie badania na ustalony temat, drążyć materię nauki szeroką ławą, z pełnym zaangażowaniem i z takim horyzontem widzenia, iżby mu starczyło tematu — i na artykuły stricte naukowe, i na publicystykę, i na książki. Dopiero przekątna linii rozwojowej adepta nauki, jako ogniwo długiego łańcucha, ale jednorodnego stopu, tożsameru tworzywa, winna wieńczyć dzieło rozprawą doktorską.

WITOLD SŁOTWIŃSKI

ARRIGO BOITO, GIUSEPPE VERDI I POLACY

Zaczął się od przypadku. Jak wiadomo, zbiory Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu na podstawie ustawy sejmowej z 1921 r. zostały w 1927 r. przewiezione do Warszawy, gdzie przekazano je do Muzeum Narodowego (zbiór muzealny) oraz Biblioteki Narodowej (księgozbiór). Wspaniała kolekcja źródeł do dziejów polskich głównie w XVIII i XIX w., która już w 1913 r. liczyła blisko 70 tysięcy druków i prawie 25 tysięcy rękopisów, nie mówiąc już o bogatych zbiorach map, fotografii i nut, uległa niemal całkowitemu zniszczeniu podczas II Wojny Światowej. Nic więc dziwnego, że skoro w mikrofilmie, zamówionym dla zgola innych naukowych celów z wrocławskiego Ossolineum odnalazłem szereg cennych materiałów, dotyczących Rapperswilu, trudno mi było nie zapoznać się z ich treścią.

Okazało się, że są to okólniki dyrekcji Muzeum z lat 1893—1912 przeznaczone dla członków Rady Muzealnej, oraz protokoły posiedzeń tej Rady z lat 1894—1911, a więc źródła nad wyraz interesujące, choćby ze względu na to, że przynoszą materiał do słynnej sprawy Rapperswilskiej, która tak niepokoiła licznych pisarzy i intelektualistów polskich na początku naszego wieku (przypomnijmy sobie głos S. Zeromskiego), dostarczają nowych danych o stypendystach Muzeum itd.

Zgola niespodziewanie napotkałem tam nazwisko Arrigo Boito, a potem Giuseppe Verdiego, pierwszy raz w okólnikach z 1896 r., i drugi pod 1901 r. Zacząłem więc przeglądać literaturę, która nie dostarczyła mi pożądanego



Wyjaśnię. Wypadło więc sięgnąć do innych źródeł, tym razem drukowanych, mianowicie ogłaszanych corocznie przez Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu, drukowanych w Paryżu w postaci osobnych broszur rocznych sprawozdań z działalności tej instytucji, co dało pożądane rezultaty.

Cała sprawa przedstawia się następująco. Za swój główny obowiązek w 1894 r. Muzeum w Rapperswilu uznało godne uczczenie rocznicy kościuszkowskiej. Zwróciło się więc do wybitnego warszawskiego historyka Fedeusza Korzona z ofertą, aby opracował on obszerną monografię Naczelnika, zapewniło mu spore honorarium, pomoc w zbieraniu materiałów, wreszcie ogłosiło własnym nakładem monumentalne dzieło uczonego: „Kościuszkowski. Życiorys z dokumentów wysnuty” (Kraków 1894). Jednocześnie dyrekcja Muzeum podjęła usilne starania o pozyskanie dla Rapperswilu urny z sercem T. Kościuszki, które przekazane przez Naczelnika testamentem Emilii Zeltnerównie znajdowało się teraz w posiadaniu jej córek, hrabini Morosini, złożone w kaplicy w miejscowości Vezzia, w kantonie Lugano. Córki E. Zeltnerówny zrazu nie kwapiły się do przekazania Polakom tej cennej pamiątki, ustąpiły jednak, kiedy zabiegł Rapperswilu poparli zaprzyjaźnieni z nimi Giuseppe Verdi i Arrigo Boito. Pozyskał ich dla tej sprawy ich znajomy, członek Rady Muzealnej, mieszkający stale za granicą hr. A. Szczański — Brochocki. W rezultacie już w maju 1894 r. otrzymano pożądaną zgodę na przekazanie urny z sercem Naczelnika do Rapperswilu, co nastąpiło jednak dopiero na jesieni następnego roku.

O kontaktach wybitnego kompozytora i pisarza włoskiego Arrigo Boito (1842—1918) z Polakami wiadomo dziś stosunkowo wiele, głównie dzięki studium W. Preisnera, ogłoszonemu w 1963 r. Wiemy więc, że jego matka Józefa hr. Radolińska była Polką, że kompozytor trzykrotnie odwiedził Polskę (1862, 1865, 1867), i że wizyty te znalazły swoje odbicie w jego twórczości literackiej: że korespondował nie tylko ze swą polską rodziną,

ale i licznymi Polakami, że utrzymywał kontakty z J. Kraszewskim, których śladem jest zachowany list Boito do polskiego pisarza, oraz wiersz napisany w 1865 r. ku jego czci, że żywo interesował się A. Mickiewiczem, co znalazło swoje odbicie nie tylko w młodzieńczym utworze, napisanym razem z Franco Faccio, ale i w jego późniejszej działalności literackiej.

Wskazywał na język włoski fragment IV części „Dziadów”, wiersz „Do Matki Polki”, fragment (jeżeli nie całość; nie ma co do tego zupełnej pewności) „Pana Tadeusza”. Przetłumaczył również wiersz K. Antoniewicza oraz „Mazurka Dąbrowskiego”. Podczas I Wojny Światowej wraz z grupą intelektualistów i artystów włoskich działał w Komitecie „Pro Polonia”. Był wreszcie członkiem honorowym Towarzystwa Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, ale nie — jak mniemał W. Preisner — w latach 1880—1893 i 1898—1901, ale od 1895 r. aż do śmierci, co można z całą pewnością stwierdzić na podstawie wspomnianych przez nas źródeł rękopiśmiennych i drukowanych. Od 1862 r. był A. Boito w bliższych kontaktach z G. Verdim, które później bardzo się zacieśniły: o przyjaźni i współpracy obu kompozytorów informuje każda monografia o G. Verdim, z prac polskich m.in. książka H. Swolkinsona.

Uroczystość przekazania urny z sercem T. Kościuszki w ręce przedstawiciela Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu odbyła się 15 października 1895 r. Wśród świadków tego aktu, których nazwiska widnieją na sporządzonym wówczas dokumencie notarialnym, figuruje A. Boito. On też towarzyszył delegatowi Rady Muzealnej A. Szczańskiemu — Brochockiemu i jego żonie w drodze z Lugano do Rapperswilu, dokąd przybył wieczorem tego samego dnia. Dnia następnego 16 października, po przeniesieniu cennej pamiątki do siedziby Muzeum, Rada Muzealna zgromadziła się niezwłocznie na posiedzenie i przybrawszy do swego grona P. Boito poddała rozważaniom myśl otwarcia urny, co zostało dokonane. A. Boito uczestniczył we wszystkich kolejnych uroczystościach, w kościuszkowskim nabożeństwie, jak również w wydany w południe „skromnym śniadaniu” na czterdzieści osób, podczas którego wygłoszono liczne przemówienia i odczytano kilkadziesiąt depesz z różnych części świata. Po zabraniu głosu przez przedstawiciela młodzieży czytamy w sprawozdaniu z uroczystości — „przemawiał P. Boito w imieniu Włochów, którzy wdzięczni są nam za sympatie, z jakimi

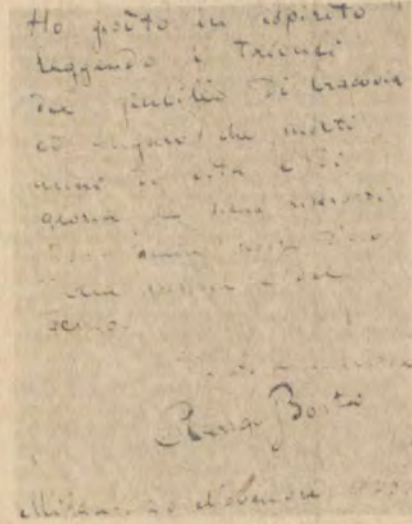
Muzeum. Ponieważ jednak każe on czekać na siebie piszę do Pana te kilka słów, aby Pan wiedział, że nie zapomniałem Pańskiej wytwornej uprzejmości oraz jakże sympatycznego przyjęcia ze strony Komitetu Polskiego. Proszę przyjąć, drogi Panie, wyrazy mego wysokiego poważania oraz przyjacielskie pozdrowienia, oddany Panu Arrigo Boito”.

W tym samym okólniku znajduje się jeszcze inny list, dotyczący tych samych spraw, mianowicie datowane 26 grudnia 1895 r. w Mediolanie pismo członków rodziny Morosini, którzy powiadomiali J. Gałęzowskiego o wysłaniu dyplomów członków honorowych dla A. Boito i G. Verdiego, oraz o tym, że od wielu dni oczekują odpowiedzi G. Verdiego na prośbę o portret dla Muzeum w Rapperswilu. Jak z tego wynika rodzina Morosini pośredniczyła w przekazaniu dyplomów obu kompozytorom.

List A. Boito do J. Gałęzowskiego jest wprawdzie wielką rewelacją, zasługującą jednak na uwagę jako jeszcze jedno interesujące świadectwo kontaktów A. Boito (a także G. Verdiego) z Polakami, tym cenniejsze, że pominięte zarówno przez badaczy, jak wydawców korespondencji kompozytora

zawsze wszyscy dla nich jesteśmy”. Tekst tego okolicznościowego przemówienia, zapewne zaimprovizowanego przez mówcę nie zachował się.

Od czasu uroczystości kościuszkowskiej zarówno A. Boito, jak G. Verdi widnieją na liście honorowych członków Towarzystwa Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, podobnie jak członkowie rodziny Morosini (z której jedna osoba otrzymała to honorowe wyróżnienie już wcześniej, bo w 1893 r.). Nie znamy dokładnej daty powołania obu wybitnych kompozytorów na członków honorowych. W rękopiśmiennym okólniku Dyrekcji Muzeum z 1896 r., opatrzonym numerem 1 i datowanym w Paryżu 1 marca znajduje się jednak kopia listu A. Boito pisanego z Mediolanu 10 stycznia 1896 r. do dyrektora polskiej placówki Józefa Gałęzowskiego. W ten sposób polska korespondencja A. Boito została wzbogacona o jeszcze jeden, nieznan dotąd list. Jest on krótki, może więc przytoczyć go w całości, w tłumaczeniu, z francuskiego: „Drogi Panie Gałęzowski! Winienem Panu najwyższe podziękowania za dyplom Rapperswilu oraz najszersze życzenia z okazji nowego roku. Opóźniłem się z pisaniem do Pana, gdyż spodziewałem się spotkać Verdiego, aby poprosić go o wysłanie Panu swego fotograficznego portretu dla



Ho Boito in spirito leggendo i trascrivendo la lettera di Gałęzowski del 10 gennaio 1896. Arrigo Boito

Ho Boito in spirito leggendo i trascrivendo la lettera di Gałęzowski del 10 gennaio 1896. Arrigo Boito

Ho Boito in spirito leggendo i trascrivendo la lettera di Gałęzowski del 10 gennaio 1896. Arrigo Boito

nauka

(której całość została dawno ogłoszona drukiem). Zasługuje wreszcie na uwagę jako świadectwo poparcia przez wybitnych Włochów polskiej inicjatywy patriotycznej, rzucającej snop światła na ich stosunek do sprawy polskiej. I to chyba jest tu najważniejsze.

Od 1895 r. nazwiska A. Boito i G. Verdiego widnieją na publikowanych co rok liściach członków honorowych Towarzystwa ogłaszanych w sprawozdaniach Muzeum. W rękopiśmiennych okólnikach powracają dopiero w 1901 r. W okólniku dyrekcji Muzeum opatrzonym Nr 1 za ten rok datowanym w Paryżu 7 marca, czytamy: „Umierają 24 stycznia br. w Mediolanie znakomity kompozytor włoski a członek nasz honorowy Józef Verdi, którego głównie wstawieniu się do rodziny Morosiniach zawdzięczamy oddanie Muzeum naszemu sercu Kościuszkowski. Dowiedziawszy się o tej śmierci wysłaliśmy zaraz na ręce przyjaciela Verdiego, a członka także honorowego naszego, Arrigo Boito, następujący telegram: „Proszę przekazać rodzinie, przyjaciółom i admirałom Verdiego kondolencje Rady Muzeum Polskiego w Rapperswilu” (tekst depeszy po francusku — AFG). Tegoż dnia odebraliśmy następującą odpowiedź od p. Arrigo Boito: „Rodzina, przyjaciele wielkiego Mistrza polecił mi wyrazić ich wdzięczność czcigodnej Radzie Muzeum Polskiego w Rapperswilu, do której dołączam się z całego serca” (tekst również po francusku — AFG). Pogrzeb Verdiego odbył się najskromniej, bez żadnej uroczystości, więc i Muzeum nasze nie mogło być na nim reprezentowanym. W tych dniach jednak ma się odbyć uroczyste przeniesienie zwłok Mistrza z grobu prowizorycznego do ufundowanego przezeń domu przyluku dla biednych artystów. W uroczystości tej Muzeum nasze reprezentowanym będzie przez korespondenta naszego Teneajoli. Mamy też zamiar wziąć udział w składce między narodowej na pomnik jaki ma być Mistrzowi w Mediolanie wzniesionym”.

Wspomniany tu F. Teneajoli był członkiem korespondentem Towarzystwa Muzeum Narodowego Polskiego od 1897 r.

I tyle informacji ze źródeł rapperswilskich. Wyjaśniły one enigmatyczną wiadomość, podaną przez A. Lewakę i H. Więckowską w katalogu zbiorów rapperswilskich, o istnieniu korespondencji A. Boito z Rapperswilu, mianowicie o jakichś listach kompozytora do Muzeum z lat 1889—1893 i 1898—1901 r. Okazało się, że chodzi o jeden list z 1896 r. i depeszę z 1901 r. Czy było jeszcze coś więcej? Po zniszczeniu zbiorów rapperswilskich pewnie się już tego nie dowiemy. Chyba, że znowu pomoże nam szczęśliwy przypadek.

P.S. Powyższy komunikat nie zastępuje naukowego opracowania odnalezionych informacji, które zostaną ogłoszone na innym miejscu.

Notował: J. WIL.

Fot. Włodzimierz Paryś

RENOWACJA WIEDZY

Na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ rozpoczął się drugi już kurs Podyplomowego Studium dla nauczycieli i działaczy związkowych. Na temat celów i zadań tego rodzaju działalności Uniwersytetu mówi kierownik Studium doc. dr MARIA OJRZYŃSKA.

— Studia podyplomowe są jak gdyby trzecim szczeblem nauczania akademickiego. Pierwszy to studia zawodowe, drugi — magisterskie, trzeci — podyplomowe i wreszcie czwarty — studia doktoranckie. Szybki rozwój nauki, zmiany w systemie zarządzania sprawiły, że zrodziła się potrzeba renowacji wiedzy nabytej przed laty w toku studiów, potrzeba kontaktu z nowymi dyscyplinami wiedzy, uczelniami, pracownikami nauki. Studia podyplomowe powstały więc pod wpływem potrzeb życia. Rozumieją te potrzeby przyszły nam z pomocą instytucje państwowe — Instytut Kształcenia Nau-

czycieli i Badań Oświatowych Kuratorium OS m. Łodzi oraz Wojewódzkie Rady Związków Zawodowych dla Łodzi i województwa...

Nasze Studium jest roczne — przyjmujemy na nie kandydatów po studiach zawodowych i magisterskich, zresztą nie tylko ekonomistów. Podstawowym kryterium jest zawód, jaki aktualnie wykonują. Jeśli na przykład historyk jest dyrektorem szkoły — to przecież studia o kierunku ekonomiczno-socjologicznym na pewno w jego pracy mu pomogą.

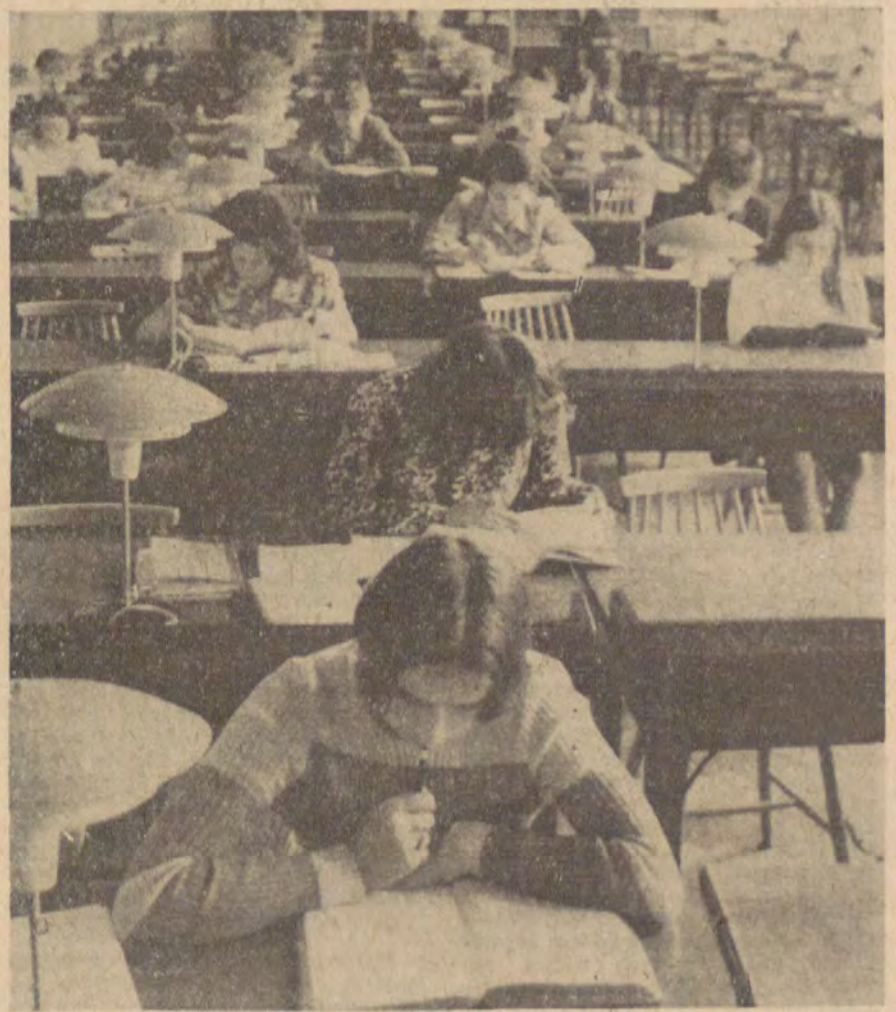
Naszym celem jest, jak powiedziałam, aktualizacja i renowacja wiedzy w zakresie współczesnych teorii ekonomiczno-socjalnych. Program mamy bardzo intensywny — 250 godzin, w których mieści się ekonomia polityczna, polityka gospodarcza, polityka społeczna, informatyka — teoria organizacji i zarządzania. Mamy zresztą możliwość pewnego elastycznego manewrowania programem, dostosowywania go do specyfiki poszczególnych kursów, zresztą program aktualizowany jest co turnus. Dla nauczycieli na przykład mamy

dotąd przedmioty: psychologia i nowoczesna metodyka nauczania. Dla działaczy związkowych — socjologię pracy i prawo pracy.

Wykłady prowadzą u nas najwybitniejsi specjaliści z każdej dyscypliny, są to wykłady o charakterze monograficznym, ukazujące tendencje zmian w obrębie danej dyscypliny.

Po pierwszym turnusie naszego Studium rozpisaliśmy ankietę mającą ukazać nam, w jakim stopniu studia podyplomowe rozwinięły słuchaczy intelektualnie i naukowo. Odpowiedź była jednoznaczna. Mało tego — słuchacze proponują nawet rozszerzenie programu, a przecież i tak jest on dość rozległy. Zważmy ponadto, że studium u nas ludzie pracujący i z reguły uprawiający jeszcze działalność społeczną, 250 godzin to znaczy 6 godzin tygodniowo plus literatura naukowa. A jednak kilku absolwentów naszego Studium zgłosiło już akces dalszego pogłębiania swej wiedzy — na studiach doktoranckich.

Notował: J. WIL.



Fot. Włodzimierz Paryś

„Pisząc „Popiół i diament” — zauważył Jerzy Andrzejewski we wstępie do drugiego wydania swojej głośnej powieści — nie miałem jasnego obrazu dni, które będą jutro i pojutrze. Myślę jednak, że jakkolwiek nie dostrzegłem wówczas pełnych perspektyw rozpoczynającego się w naszej historii przełomu, to przecież jako pisarz uczyniłem rzecz jedynie słuszną, jaką mogłem uczynić: powiadziałem tyle, ile powiedzieć potrafiłem.”

Nie minoła podyktowała to wyznaczenie, które dziś odczytać możemy jako fałszywą skromność. „Popiół i diament”, który powstał pod ciśnieniem pierwszych dni powojennych nie jest zapewne szczytowo osiągnięciem w twórczości Andrzejewskiego, ale trudno się zgodzić z krytykami, którzy w latach czterdziestych zarzucali pisarzowi, że nie dość wyraźnie opowiedział się po stronie rewolucji społecznej w Polsce i w dysproporcji ukazania racji dwu walczących stron upatrywali głównych mankamentów książki. W referacie wygłoszonym na Zjeździe ZLP w roku 1962 Ryszard Matuszewski słusznie zauważył, że:

„Jerzy Andrzejewski, pisząc „Popiół i diament”, był autorem zafascynowanym problematyką rewolucji społecznej w Polsce, ale przecież jeszcze nie pisarzem bez rozterek i wątpliwości (...). Jednak powieść ta, niezależnie od wszelkich zarzutów, pozostała w naszej literaturze jednym z najrzetelniejszych dokumentów artystycznych rzeczywistości tamtych lat”.

Treść książki Andrzejewskiego została tak bardzo spopularyzowana przez ekranizację Wajdy, że właściwie nie ma potrzeby przypominania o jaka rzeczywistość tu chodzi. Zauważmy tylko, że pierwotny tytuł powieści brzmiał: „Zaraz po wojnie” i pierwodruk ukazał się w tygodniowych odcinkach w „Odrodzeniu” w r. 1947, a więc niemal w dziesięć miesięcy po tym, jak „Twórczość” zamieszczała po raz pierwszy opublikowane w kraju opowiadania Tadeusza Borowskiego „Dzień na Harmenzach” oraz „Proszę państwa do gazu” (pierwotny tytuł: „Transport Sosnowiec — Będzin”). Podobnie jak późniejszy „Popiół i diament” także opowiadania Borowskiego nie wzbudziły zachwytu krytyki, zwłaszcza tej, która reprezentowała katolicki nurt refleksji społecznej. Prawda o obowojem życiu przedstawiona tak ekshibicjonistycznie przez nadzwyczajnego häftlinga nie-pasowała do oświecenijskiego stereotypu ukształtowanego przez prasę i literaturę wspomnieniową tamtego okresu.

Przywołuję tutaj nazwisko Borowskiego, bo wydaje mi się, że echa ówczesnych polemik z twórczością tego pisarza miały istotny wpływ na kształt „Popiołu i diamentu” Jerzego Andrzejewskiego. Południem tego może być choćby zapis w dzienniku pisarza, w którym pod datą 13 czerwca 1946 r. czytamy:

„Historia Antoniego Kosseckiego, Adwokat Solidna, uczyniła, ciesząc się najlepszą opinią w obozie oświeceniści, zamazuje się. Co z nim, kiedy wraca? Tytuł: „Zaraz po wojnie”.

Dla Andrzejewskiego, który zadebiutował jako moralista zainspirowany twórczością francuskich pisarzy katolickich tej miary co Francois Mauriac i Georges Bernanos, sprawa sędziego Antoniego Kosseckiego (w powieści jest on sędzią, nie adwokatem) jest centralnym zagadnieniem etycznym, które trzeba rozstrzygnąć, rozpatrując postawy ludzi w obliczu wojny i przemocy. Spójrzmy tylko jak broni się Kossecki zdemaskowany przez Szczukę w rozmowie z Podgórskim:

„Mówię w tej chwili jako Jednostka. Ale w taki właśnie, nie inny sposób rozumuję i doświadczone politycznie narody. Jest wojna, jest pokój. Pomiędzy nimi — przepaść, jedna ocena wartości na okres wojny, druga na okres pokoju. Pierwszy dzień wojny przekreśla pokój i pierwszy dzień pokoju przekreśla wojnę. Co miało znaczenie w czasie wojny, nie może liczyć się w czasie pokoju. I odwrotnie.”

Wiemy, że te racje są nie tylko najzupełniej fałszywe, ale także prymitywne, nie zwulgaryzowane, toteż trudno nam zrozumieć Szczukę, który demaskując zbrodnicego śrutobowego z Gross-Rosen, gotów mu jest u obozową przeszłość wybaczyć. Ta ewangeliczna tolerancja wobec ludzkiej słabości, w którą wyposażył Andrzejewski Szczukę, która się zdecydowanie z jego postawą świadomego komunisty, na dodatek byłego häftlinga. W świetle tego, co o obozach napisał Tadeusz Borowski, a później Ry-

szard Koziński (świetnie opowiadanie „Trzeba głęboko oddychać”), sprawa sędziego Kosseckiego mocno szeleści papierem. Wyczuł to doskonale Andrzej Wajda, który ma w swoim dorobku także ekranizację prozy Borowskiego, i centralną postacią filmu „Popiół i diament” uczynił Szczukę, a obok niego Maćka Chelmieckiego w niezapomnianej kreacji Zbigniewa Cybulskiego, chociaż

KONRAD FREJDLIH

Rzecz o szlifowaniu diamentów

Chelmiecki jest w powieści Andrzejewskiego postacią epizodyczną, ślepym narzędziem w ręku bankrutujących polityków, którym historia odmówiła moralnych i politycznych racji. Ten watek najnowszej historii, dramat młodego pokolenia zaplątanego w meandry dziejowych wydarzeń, których sensu nie jest zdolne zrozumieć, stanowił o atrakcyjności i sile oddziaływania filmu umożliwiająca także nowe i jakby głębiej odczytanie samej powieści. O jej atrakcyjności zdecydowało także przenikliwe narysowane iło obyczajowe, wierne oddanie atmosfery i emocji towarzyszących ostatnim godzinom wojny i pierwszym godzinom pokoju.

Trzeba więc patrzeć na „Popiół i diament” jak na książkę, która powstała pod ciśnieniem czasu i choćby dlatego nie jest wolna od pewnych złudzeń skorygowanych przez późniejszy rozwój wydarzeń, ale jednocześnie jak na se-



Fot. Jerzy Neugebauer

smograficzny zapis niepokoju i wątpliwości towarzyszących narodzinom nowej rzeczywistości, nie zaniechany interpretacjami, które uławniły się u zarania niepodległości, możemy dostrzec projekcję przyszłych losów Rzeczypospolitej. Koniec wojny zamknął bowiem pewien etap w życiu narodu, otwierając jednocześnie nowy, który dla wielu środowisk, choć jakościowo inny, nie był wcale łatwiejszy od poprzedniego. Wojna zastąpiła naród zjednoczony w woli

walki z okupantem, pokój na nowo wprowadził podziały, kiedy trzeba było zdecydować o kształcie nowej rzeczywistości. W tej konieczności wyboru kryła się niejedna osobista tragedia. Przypomnijmy sobie choćby dramatyczne pożegnanie Chelmieckiego z odchodzącym do lasu Andrzejem Kosseckim:

— „Cała przeszłość, pełna cieni zmarłych przyjaciół i towarzyszy, ogarnęła go naraz przemijającym blaskiem tamtej nadziei i tamtego braterstwa.”

— Andrzej — zawałł za odchodzącym. Kossecki zatrzymał się przy drzwiach. Był biały, usta miał zacisnięte.

— Co?

— Powiedz... czy ty sam... wierzysz w swoją słuszność?

— Ja? — powtórzył tamten z akcentem zdziwienia. — Nie. Ale to jest bez znaczenia. Bywał.”

Nie ma Maćka Chelmiecki wewnętrznego przekonania o słuszności tego co robi. Gdy idzie zabić Szczukę.

— „Ale w imię czego mam wszystko poświęcić? Wiedzę wiedziałem. A teraz? Powiedz! W imię czego mam tego człowieka zabić? I innych zabijać? Ciągłe zabijać. W imię czego?”

Jeśli przypominam te fragmenty książki Andrzejewskiego to nie po to, żeby dowodzić, że zawiera bogactwo materiału dramatycznego, ale raczej, że w tak postawionych przez pisarza pytaniach zawiązały się zasadnicze problemy etyczne i polityczne pierwszych dni wyzwolenia Polski.

Nie dziwi mnie więc, że w roku jubileuszu PRL aż trzy teatry jednocześnie sięgnęły po „Popiół i diament” jako po pozycję najbardziej reprezentatywną dla pierwszego etapu nowej rzeczywistości społecznej, najbardziej nosną w ideowe zagadnienia tamtego okresu. A przecież zrozumienie genezy procesów społecznych pozwala na pełniejszy ogląd rzeczywistości już w jej rozwiniętej fazie, bo poprzez szwy i grzyby można dostrzec wielkość i trudny przebieg drogi, jej patos i heroizm.

Jeśli wierzyć recenzjom najbardziej ambitną próbę zdyskontowania tych walorów książki Andrzejewskiego podjął Roman Kordziński z Teatru Polskiego w Poznaniu. Zdaniem Ewy Piotrowskiej z „Nurtu” jego spektakl „to nie tylko próba bilansu dokonania pokolenia, lecz próba uprzytomnienia nam rodowodu i ważności postaw własnych. Gra idzie o świadomość własnego historycznego i kulturowego miejsca, własnych racji intelektualno-etycznych”.

Podobnie wysokie ambicje przyświecały także Janowi Maciejowskiemu z Teatru im. Jaracza w Łodzi, adaptatorowi powieści Andrzejewskiego i reżyserowi spektaklu, do którego zaangażowany został niemal cały zespół aktorski. Gdyby ta premiera odbyła się w roku 1947 moglibyśmy zapewne mówić o pełnym powodzeniu tych zamysłów, ale w roku 1974 bezkrytyczne zawierzenie powieści musiało przynieść efekty dalece skromniejsze. Kurczowe trzymanie się adaptatora wszystkich wątków oryginału doprowadziło do swoistego wykrzywienia hierarchii wartości: oglądając spektakl można odnieść wrażenie, że najważniejszym problemem Polaków w roku 1945 była sprawa kolaboracji w obozach koncentracyjnych, a jest to przecież nie tylko obraźliwe, ale także najzupełniej niezgodne z prawdą historyczną.

Maciejowski daje się uwieść wymyślnym przez siebie chwytom inscenizacyjnym. Brane osobno są często pomysły, ale poprzez ich nadmiar tchną sztucznością i nadmierną teatralnością. Nawet odwołanie się do symboliki „Wesela” i „Pana Tadeusza” daje w tym spektaklu niezamierzony efekt. Stało się tak chyba dlatego, że reżyser, zaufawszy bez reszty materii literackiej nie opowiada się po żadnej ze stron, uciekając w dość mglistą metaforykę stymulowaną technicznymi efektami.

Inną drogę obrał Jan Perz z Teatru Ziemi Łódzkiej. Wystawiony przez niego „Popiół i diament” w adaptacji Andrzeja Czernego jest spektaklem może mniej efektownym i skromniejszym

Ramy spektaklu Maciejewskiego wyznacza sprawa Antoniego Kosseckiego. Z tej papierowej w książce postaci potrafił wydobyć Jerzy Przybylski całe rozdzarcie karta i olfary w jednej osobie. Całe szczęście, że i Szczuka kreowany przez Jana Tesarza ma obok zdecydowanych przekonań, także głęboko ludzkie rozterki, dzięki czemu staje się postacią pełnowymiarową. Przeżywa wprawdzie swoje problemy po inteligentku, ale tak też go naszkicował w powieści Andrzejewski, a Tesarz potrafił swoją grą wzbudzić szacunek i sympatię dla racji Szczuki, który staje się postacią

głęboko tragiczną. Współczucie wzbudza także Andrzej Kossecki grany przez Ireneusza Kaskiewicza, kiedy na rozkaz przełożonych musi iść do lasu, aby walczyć o sprawę, którą już rozstrzygnęła na jego niekorzyść historia. Także sekretarz powiatowy PPR Podgórski, mimowolny egzekutor moralnego testamentu Szczuki, wzbudza nasze zainteresowanie i sympatię dzięki przekonującej interpretacji Andrzeja Głogowskiego. I tyle można powiedzieć o aktach spektaklu Maciejewskiego. Nie oznacza to wcale, że pozostali aktorzy nie stanęli na wysokości zadania. Myślę, że często wnieśli się ponad wyznaczony im przez reżysera poziom, rzecz jednak w tym, że adaptacja ucieka ich ponad miarę zajęcią gorsetem.

Maciejowski rozgrywa swój spektakl na symultanicznej scenie, w jednej, niezbyt funkcjonalnej dekoracji (scenografia: Marian Garlicki i Mieczysław Wiśniewski), która zapewne ma nam sugerować jakiś ogromny, wielopłaszczyznowy fresk. Są tu przecież przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, od babci kłozetowej, poprzez hrabiów, do sekretarza KW. Są obecni, ale mówiąc językiem z czytanych szkolnych, nieprzytomni. Dramat postaw, tak charakterystyczny dla powieści Andrzejewskiego, tutaj przetrada się w jakąś nie najlepszej próbie grotesku.

Maciejowski daje się uwieść wymyślnym przez siebie chwytom inscenizacyjnym. Brane osobno są często pomysły, ale poprzez ich nadmiar tchną sztucznością i nadmierną teatralnością. Nawet odwołanie się do symboliki „Wesela” i „Pana Tadeusza” daje w tym spektaklu niezamierzony efekt. Stało się tak chyba dlatego, że reżyser, zaufawszy bez reszty materii literackiej nie opowiada się po żadnej ze stron, uciekając w dość mglistą metaforykę stymulowaną technicznymi efektami.

Inną drogę obrał Jan Perz z Teatru Ziemi Łódzkiej. Wystawiony przez niego „Popiół i diament” w adaptacji Andrzeja Czernego jest spektaklem może mniej efektownym i skromniejszym

niż inscenizacja Maciejewskiego, ale za to bardziej znaczącym ideowo i artystycznie. Adaptacja poszła drogą wyznaczoną już wcześniej przez Andrzeja Wajdę, przez o przedstawienie staje się bardziej czytelne, zwłaszcza że w niektórych partiach jest zamierzonym pastiszem filmu.

W spektaklu Perza postacie z powieści zostały zredukowane do rzeczywistości najważniejszych, w ten sposób ich racje brzmią bardziej przekonująco i są jakby pełniejsze. Zarówno Szczuka (Remigiusz Rogacki) jak Podgórski (Henryk Dudziński) potrafią donieść do widza racje świadomych komunistów, przekonujący jest socjalista Kalicki (Kazimierz Jaworski). W spektaklu tym mamy także tragicznych bohaterów z pokolenia Kolumbów, dzięki wdzięcznej kreacji Zbigniewa Bielskiego (Maciek



Fot. Jerzy Neugebauer

Chelmiecki) i Ewy Marii Hesse (Krystyna Rozbicka), sprawdza się także jako Andrzej Kossecki Piotr Stefaniak. Dzięki tej trójce, jak w filmie Wajdy, zaczynamy wierzyć w metamorfozę Chelmieckiego, a cien spraw okupacyjnych przydaje mu cech prawdziwie tragicznych. Spotkanie Maćka z Krystyną, tak brzemienne w konsekwencje jest nie tylko świetną sceną liryczną, ale jednocześnie negliguje niedojrzałość jego postawy, obnaża wątpliwość racji obozu politycznego, w którym się znalazł niejako instynktownie, i wydobywa cały dramat jego osobistych losów jako życiowego rozbitka, który jest zadowolony z Cybulskim do tego stopnia, że niekiedy nasładuje nawet jego śmiech, ale wnosi też do roli Chelmieckiego rysy własne.

Kto wie, czy pójdzie przez Perza drogą utworzoną wcześniej przez Wajdę przyniosło wartościowe scenicznie rezultaty?

Jerzy Andrzejewski: „Popiół i diament”. Premiera w Teatrze im. Jaracza w Łodzi 23.III. 1974 r. w adaptacji i reżyserii Jana Maciejewskiego, scenografia Marian Garlicki i Mieczysław Wiśniewski, muzyka Piotr Hertel.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, czwarta premiera sezonu 1973/74, adaptacja Andrzej Czerny, reżyseria Jan Perz, scenografia Zenobiusz Sirzelecki i Jolanta Leszczyńska, układ ruchu Janina Niesobka.

POLEMIKI

STAĆ NAS NA WIELKIE OSIĄGNIĘCIA

W związku z publikowaniem na łamach „Odgłosów” listem Panj Barbary Wałkówny, chciałbym wyjaśnić kilka spraw, które bądź to w wyniku skrócenia mojej wypowiedzi przez redakcję, bądź też, być może, niejasnych sformułowań zawartych w tej wypowiedzi, spowodowały tak gorącą reakcję.

Wydaje mi się, że łatwo dostrzeżalną jest różnica między wypowiedzią na temat teatru, a wypowiedzią na temat instytucji innego rodzaju, a to przede w zyskiem z tego powodu, że teatr przeznaczony jest głównie (a może jedynie) dla ludzi na nim się nie znających. Wyrażając zgodę na udzielenie wypowiedzi uwolniam, że spełniam swego rodzaju obowiązek społeczny i że wypełnię go właściwie, jeżeli wypowiedź ta będzie zupełnie szczerą. Opinia moja nie ma więc charakteru wygłaszania apodyktycznych sądów czy ferowania wyroków, a ma charakter zupełnie osobisty odczuć.

W tekście mojej wypowiedzi użyte zostało sformułowanie: „unikam wizyt w łódzkich teatrach”, a następnie: „z kilku przedstawień w ostat-

nich latach wychodziłem...” Z tego wynika niedwuznacznie, że w ciągu ostatnich lat byłem chociażby na tych kilku spektaklach, z których wyszedłem, a przecież nie powiedziałem, że wyszedłem ze wszystkich. Oglądałem bowiem także tak interesujące przedstawa lenia jak np. „Czajka”, czy „Przepis ze starej kroniki”. Sprawa intuicji i logiki. Nie wiem skąd może brać się przekonanie, że w pracy naukowej intuicja jest rzeczą zbędną. Zdecydowana większość odkryć „wielkich, średnich i całkiem małych” byłaby bez udziału intuicji w ogóle niemożliwa. Z drugiej strony intuicja ta musi być poparta logiką, ale jak sądzę wzajemne uzupełnianie się intuicji i logiki jest niezbędne nie tylko w pracy naukowej, ale także w każdej innej działalności twórczej.

Najważniejszym jednak zarzutem skierowanym pod moim adresem jest, jak zrozumiałem, bezpodstawne posiadanie łódzkich teatrów o przeciętność.

Nie uważam, że teatry łódzkie są złe i nigdy z taką opinią bym się

nie zgodził. Mówiłem tylko, że brak jest w Łodzi wybitnych wydarzeń teatralnych, wydarzeń, które w sposób agresywny przyciągałyby widza. Nie chodzi tu jednak o widza „organizowanego” i choć sama akcja rozprowadzania biletów jest na pewno słuszną i niezbędna (osobiście także z takiej akcji korzystam) trudno jednak efekty tej „organizacji” uznać za miarę sukcesów artystycznych. Z napisanego przez specjalistę artykułu publikowanego w nr 7 „Dialogu” z roku 1973 pt. „Dyskretny urok frekwencji” wybieram cytaty, który brzmi: „To frekwencja daje dobre samopoczucie dyrekcjom złych teatrów”. Oczywiście nie można grać sztuk dla pustej widowni, ale znanych jest wiele przypadków, gdzie wypełniona po brzegi widownia wcale nie szła w parze z wartościami przekazywanymi ze sceny.

Pani Barbara Wałkówna pisze, że łódzkie środowisko teatralne jest drugim co do wielkości w Polsce i zważając na wielkość naszego miasta tak być powinno. Ale przecież nie jest to równoznaczne z zajmowaną pozycją z punktu widzenia

rangi artystycznej tego środowiska. Oto w nr 9 „Dialogu” z roku 1973 znajduję artykuł Zygmunta Grenia niejako oficjalnie podsumowujący wydarzenia teatralne minionego sezonu pt. „Sezon w kraju: teatr literacki?” Autor omawia kilkanaście najwybitniejszych spektakli z kraju, nie wspominając o żadnym przedstawieniu łódzkim (z wyjątkiem drwin związanych z wystawieniem „Trędowatej”). Telewizyjny „Pegaz” poświęcił w każdej edycji znaczną część czasu ciekawym spektaklom, ale ostatnie omówienie spektaklu łódzkiego miało miejsce osiem miesięcy temu.

A przecież miasto nasze tak prężnie rozwijające się, zwłaszcza w ostatnich latach, ma prawo domagać się, by w tak reprezentatywnej formie dla całości życia kulturalnego, jaką jest teatr, zajmowało w skali kraju odpowiadające jego aspiracjom miejsce.

Pani Barbara Wałkówna pisze, że władze miasta doceniają w pełni rangę kultury i otaczają teatry łódzkie serdeczną opieką. Oczywiście nikt w to nie wątpi bowiem opieka ta jest przejawem polityki kulturalnej wynikającej z przesłanek ideowych naszego ustroju. Ale, jak sądzę, czym większa jest to opieka, tym większe zobowiązanie środowiska teatralnego do podnoszenia poziomu spektakli do rangi zapewniającej reprezentowanie miasta na mapie kulturalnej kraju w sposób odpowiadający roli, jaką Łódź odgrywa wśród innych ośrodków.

Szczerze żałuję, że redakcja „Odg-

łosów” prawdopodobnie ze względu na ograniczoną objętość, usunęła z mojej wypowiedzi pewne jej fragmenty. Wspominałem w nich dobry okres teatrów łódzkich.

Będąc rodowitym łodzianinem i gorącym patriotą Łodzi, w wyniku pominięcia tych fragmentów zostałem niejako postawiony w rzędzie łodzian (jak pisze „Głos Robotniczy” nr 82 (9214—A) ukrywających kompleks prowincji, lub przyjmujących snobistyczne pozy. Podejrzewam, że jest to chwyt mający zdyskredytować w oczach opinii łódzkiej osoby zwracające uwagę na pewne, istniejące zresztą w każdym mieście, niedostatki.

Pragnę jeszcze raz wyrazić głębokie przekonanie, że miasto na pewno stać na prawdziwie wielkie osiągnięcia artystyczne w każdej dziedzinie, a w szczególności w teatrze. Ze względu na charakter tego miasta i jego tradycje społeczne uważam nawet, że jest ośrodkiem szczególnie predestynowanym do odgrywania wiodącej roli w budowie nowoczesnego zarówno w sensie ideowym jak i artystycznym teatru. Sądzę także, że warunkiem, choć nie wystarczającym, aby tym nie mniej koniecznym, by teatry nasze wróciły do czołówki krajowej, jest zdanie sobie sprawy jak daleko od tej czołówki odstąpiły.

Korzystając z okazji życze Pani Barbarze Wałkównie jak najwięcej sukcesów, takich jak choćby w wystawianej obecnie „Medel” i jeszcze większych.

ANDRZEJ LECH KOSZMIDER

MOJE WALKIRIE

W marcu br. w Teatrze Wielkim odbyło się przedstawienie „Walkirii” Wagnera w wykonaniu solistów i orkiestry Państwowego Teatru Heskiego w Wiesbaden (NRF). Przyznam się, iż nie spodziewałem się, że zobaczę takie właśnie przedstawienie. To znaczy pod pewnym względem moje nadzieje zostały zawiedzione, bowiem wykonanie muzyczne i wokalne było wzorowe, głosy były piękne, dykcja świetna, a orkiestra pod dyktando Siegrreda Koehlera brzmiała znakomicie, przy czym mimo imponującej ilości rogów, trąbek zwykłych i basowych oraz tub „wagnerowskich” i basowych, nigdy nie głuszyła śpiewaków. Równowaga brzmienia między kanałem a sceną była imponująca. Scenografia nieco umiorna, ale piękna, zwłaszcza II akt, działająca nie nachalnym realizmem, ale nastrojem.

W jednym wszakże względzie mocno zawiodła. Zaprezentowana nam „Walkiria” była bowiem właściwie brzydki ukostiumowany koncertem, bo trudno by to było nazwać scenicznym przedstawieniem. Jeszcze kostiumy męskie mogły mieć jakieś sceniczne uzasadnienie, natomiast panie ubrane były w niezbyt dobrze skrojone suknie wieczorowe, a Walkirie (które zresztą za swój popis wokalny w III akcie otrzymały zasłużone brawo), wyglądały jak nie przyszyte do teatru dziewczynki.

Kiedy jeszcze ujrzałem (i usłyszałem) jak Siegmund z Siegliną rymnęli w miłosnym szale (?), aż ziemia „jęknęła” — jak żywo stanęła mi przed oczami przedstawienie w Teatrze Wielkim w Warszawie, które jako dziesięcioletni chłopiec widziałem na początku lat dwudziestych. Było to pierwsze przedstawienie operowe, jakie widziałem w życiu: Brunhildę śpiewała moja ciotka, Maryla Gembarzewska, Sieglinde — chyba Zbońska-Ruszkowska, Frikę — Frenkówna. Obsady męskich ról nie pamiętam. Siegmundem chyba był Gruszczyński (a może i Dygas z wielkim brzuchem i w binoklach na nosie), Wotana śpiewał albo Micha-

łowski, albo Mossoczy. Oczywiście wykonawczyń ról Walkirii nie pamiętam. Dyrygował Emil Młynarski. Brunhilda, jako też i reszta Walkirii, zaopatrzona była w zbroję ze lśniących metalowych łusek, tarcz, miecz i hełm ze skrzydełkami. Jej pierwsze pojawienie się na scenie nastąpiło w towarzystwie konia z warszawskiej straży ogniowej. Koniowi ten cały zgiełk i oślepiające światła reflektorów bardzo się nie podobały, bo nie chciał wejść na scenę, chociaż go Brunhilda dziarsko ciągnęła za uździeniec. Odwrócił się do wszystkich zadem, machnął ogonem i... Nie, nie proszę państwa, to był dobrze wychowany koń, ulżył sobie, ale dopiero za kulisami.

Jak to sam Wagner w swoich „didaskaliach” przykazał (sprawdziłem): Frika wjechała na scenę na specjalnym „germańskim” wózku, zaprzężonym w dwa barany (wypchane). Wotan miał na sobie zbroję, tarczę i hełm z rogami, w ręku dzierzył włócznię. Siegmund i Sieglinde byli ukostiumowani podobnie, jak w wiesbadenkim przedstawieniu. Hunding również. Dekoracje (podobno wymalowane w Wiedniu na zamówienie według wzorów z Bayreuth) były „jak żywe”, zwłaszcza odkryte wiecznym śniegiem „niebosiężne” szczyty. Niebo rozjaśniały „autentyczne” błyskawice. W trzecim akcie podczas intermezza orkiestrowego, zwanego „cwałowaniem Walkirii”, przesuwno po scenicznym niebie przy pomocy projektora ruchome sylwetki Walkirii na koniu. Zastąpione ogniwą wokół kamiennego łoża Brunhildy stanowiły kłęby pary, oświetlone czerwonymi reflektorami.

Uśpioną Brunhildę Wotan brał na ręce i osobiście układał na łożu, przy czym nie omieszkał szepnąć mojej ciotce do ucha: „Ale ciężka to ty jesteś”. W wiesbadenkim przedstawieniu Wotan nie zadawał sobie tyle trudu. Po prostu wziął Brunhildę za rękę i uprzejmie zaprowadził ją na kamienne łożo. Czy ja wiem — może by i nie podał takiemu trudowi — zresztą Wagner nikogo no-



Rys. A. Grün

SCHEMATY

Nie wolno sprzeciwiać się schematom. Otóż „Odgłosy” zamiast sztamkowej i schematycznej laurki opublikowały z okazji Dnia Teatru cykl wypowiedzi na tematy teatralne. Były tam uwagi słuszne i niesłuszne — wszystkie wszakże miały jedną zaletę, były szczerze, a ich autorzy autentycznie zainteresowani o kształt i poziom Łodzi teatralnej.

Jedną z tych wypowiedzi doczekała się repliki. Dalszy ciąg tego dwugłosu publikujemy poniżej.

W międzyczasie jednak włączył się do dyskusji Henryk Pawlak z „Głosu Robotniczego”. Wytrwany ten polemista pisze: „Często spotykam się w Łodzi z opiniami głoszonymi głównie w środowisku inteligencji, że tutaj na miejscu nie wartościowego w dziedzinie sztuki się nie znajduje, że aby zobaczyć dobre przedstawienie teatralne, obejrzeć ceka-

wą wystawę sztuki, posłuchać dobrej muzyki — trzeba jechać do Warszawy czy Krakowa. Niedawno pewien łódzki naukowiec dał publicznie wyraz temu przeświadczeniu, dumnie przy okazji oświadczając, że od kilku lat nie był w Łodzi w teatrze, a ostatnią tam wizytę zakończył przed końcem spektaklu, zrażony niskim poziomem widowiska. Autor tej wypowiedzi twierdził, że nadal teatry w Łodzi są na słabym poziomie, choć nie wyjaśnił, na jakiej podstawie doszedł do tego wniosku, nie bywając w nich od lat...” Koniec cytuję.

Henryk Pawlak — jak widać — uważa, iż nie ma obowiązku cytować tekstów, z którymi polemizuje, bowiem nie w sposób uczynny, bowiem nie ujawnia przed czytelnikiem ani tytułu gazety, ani nazwiska „pewnego” łódzkiego naukowca. W ten sposób „zwykły konsument”

TEATR

sić nie kazał, a ówczesny warszawski bas miał w sobie więcej krzepy. „Walkirię” widziałem jeszcze raz w Warszawie w kilkanaście lat później. Ani obsady, ani kapelmistrza nie pamiętam. Dekoracje i kostiumy były te same, tylko bardzo zniszczone. Niebo w drugim akcie było troskliwie zacerowane. Trzeci raz widziałem „Walkirię” w bardzo dobrym muzycznym i scenicznym wykonaniu na początku lat sześćdziesiątych w Budapeszcie (dyrygował Ferencsik). W wykonaniu Wiesbaden-czyków widziałem tedy „Walkirię” po raz czwarty i muszę powiedzieć, że mnie to wykonanie nieco zdziwiło.

Widziałem bowiem już przed wojną przedstawienia operowe w Niemczech i w Austrii, które miały wszelkie cechy prawdziwego teatru. Role były obsadzone właściwie, śpiewacy choćby w pewnym zakresie odpowiadali wiekiem i zewnętrznymi cechami wykonywanym przez nich rolom. To samo można powiedzieć o przedstawieniach, jakie widziałem po wojnie w Budapeszcie, Pradze i Leningradzie. Z całym uznaniem odnoszę się też do wysiłków teatralnych na naszych scenach operowych, nie pomijając oczywiście naszej rodzimej, łódzkiej sceny. Skąd tedy wzięły się ślady dawnej sztampy operowej w „Wiesbadenie”?

Przypomniała mi się w tym miejscu wypowiedź Mariana Piechała na łamach „Odgłosów” (Nr 5 — (205) z 4.II. 1962). Sam tytuł może dać pojęcie o treści tej wypowiedzi: „Konservacja trupa”. Wypowiedź zresztą dotyczyła pewnego bardzo słabiego przedstawienia łódzkiej Opery z jej „heroicznych” czasów, kiedy brakowało wszystkiego — śpiewaków, baletu, chóru i orkiestry, a przedstawienia odbywały się w czasie wolnych dni teatrów dramatycznych. Nie zgadzając się z wypowiedzią M. Piechała stwierdzam, że opera jako forma bynajmniej nie jest trupem. Dowodzi tego ogromne powodzenie przedstawień operowych u najszerszych warstw widzów. Wszelako nie można i nie wolno o tym zapominać, że opera jest też teatrem, chociaż w specjalnej konwencji. W dramacie i komedii mówi się, w pantomimie i baletcie wszystkie treści wyraża się przy pomocy ruchu i gestu, a w operze się śpiewa przy akompaniamentem orkiestry. Przeto „ukostiumowany koncert”, jaki nam zaprezentowali Wiesbaden-czyści, wydaje się dużym nieporozumieniem, aczkolwiek nie można też wykluczyć utworów o założeniach kantatowych, jak „Carmina Burana” Orffa (świetne przedstawienie w naszej Operze pod dyr. Z. Latożewskiego) czy też „Króla Edypa” Strawieńskiego. Ale to są utwory w ten sposób konsekwentnie skonstruowane, przy czym obsadzenie ról musi być mimo wszystko odpowiednie.

Czy wielkie, silne głosy muszą się koniecznie mieścić w wielkich brzuchatych cielskach? Czy można bez uczucia, mającego wiele wspólnego z kompleksem Edypa wierzyć, że ta starsza pani jest córką tego młodszego pana?

Reasumując: prawdziwy teatr operowy posiada znakomitą ilość silnych żywotnych pod warunkiem, że się będzie jednak uciekało od starej, operowej sztampy, zalecającej zanaszkami staroci bez gustu. Zamiast tego wolę już estradowe wykonanie, tego można słuchać nie patrząc. Ale jeżeli trzeba na to patrzeć, to niech to będzie prawdziwy teatr, oczywiście w śpiewanej konwencji.

zmuszony jest przyjąć na wiarę to, co Pawlak sobie wymyślił. Jeśli więc ów czytelnik ma do Pawlaka zaufanie, uwierzy, że wszystko jest cacy, że to tylko jakiejś tam inteligencji przetrwa się w głowie, że jakiś podejrzany naukowiec, wróg łódzkiej kultury opluskiwa i wybrzydza nie mając podstaw.

A że sprawa wygląda nieco inaczej, to już nie ma dla Pawlaka znaczenia.

Nie jesteśmy aż tak naiwni, aby przypuszczać, że Henryk Pawlak przeczyta uważnie tekst, który był przedmiotem jego polajanki. Chodzi nam po prostu o pokazanie, jak twarde żywo mają metody polemiczne, o których myśleliśmy, że dawno odplynęły w słońce.

A jeśli chodzi o „zwykłego konsumenta”, to jest on i tak mądrzejszy niż się to pewnym publicystom (że użyję stylu Pawlaka) wydaje. Bez względu na to, czy pochodzi z „pewnych środowisk”, czy z środowiska, które pragnie reprezentować Henryk Pawlak.

ODGŁOSY

BARDZO PRACOCHOŁONNE

W Łodzi zakończył się (ponad rok trwający) cykl wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej, a rozpoczął się następny cykl wystaw, mający ambicje zaprezentować tendencje wizualne i konstruktywistyczne w tejszej polskiej sztuce współczesnej. Jeśli idzie o cykl poprzedni, to mieścił on w sobie wystawy też, dobre i bardzo dobre i już przez ten sam prosty fakt był interesującym przejrzeniem poprzez postawy artystyczne, chociaż siłą rzeczy nie był to przekrój pełny i wyczerpujący. Organizatorzy (czy scenarzyści?) nie mogli dać pełnego obrazu nadrealnych i metaforycznych tendencji, które zagnieździły się aktualnie w polskiej sztuce współczesnej z tego chociażby powodu, iż byli zdeterminowani m. in. czynnikami ilościowymi, czyli innymi słowy nie mogli z przyczyn technicznych (jak chociażby brak stosownych pomieszczeń wystawowych) zorganizować tylu ekspozycji, ile by chcieli, czy też uważali za słuszne. Cykl poprzedni zakończył się akcentem niespodziewanym, bo pokazem prac Benona Liberskiego, co wydaje mi się oczywistym przedobrzeźniem sprawy i przywodzi na myśl ową anegdotkę o znakomitym chirurgu, który dokonując wobec szerszego „grona asystentów zabiegu trepanacji czaszki, na bis wyciał także wyrostek robaczkowy i coś tam jeszcze.

Fakt, że po aktualnych tendencjach nadrealnych i metaforycznych pokazane nam zostaną aktualne tendencje wizualne i konstruktywistyczne uważam osobliście za równie naturalny jak to, że po tendencjach na przykład romantycznych-patriotycznych powinniśmy koniecznie zobaczyć tendencje brut-artowskie, albo, że po deszczu jest słońce a po nocy jest dzień. Programowane działania cykliczne mają to do siebie, że podlegają pewnym prawom logicznym. Im więcej celowości i precyzji jest w samym programowaniu, tym więcej logiki winno być w ostatecznej realizacji. Cykl wystaw, które mają prezentować tendencje wizualne i konstruktywistyczne w polskiej sztuce współczesnej otwiera ekspozycja malarstwa Zofii Artymowskiej w Salonie Sztuki Współczesnej.

II

W sztuce (zwłaszcza naszej) panują pewne sztywne podziały, chociaż wydawać by się mogło, że wszelkie sztywne podziały w sztuce nie powinny mieć miejsca. Podziały te odnoszą się zarówno do treści jak i do formy. Jeżeli ktoś maluje kominy a na nich sztandary — to wedle obowiązujących sztywnych reguł systematyki jest on malarzem zaangażowanym. Jeżeli ktoś maluje kwadraty, prostokąty, wałce, spirale, kółka, to jest on według powyższych kryteriów — malarzem konstruktywistycznym, a jeżeli używa kolorów tzw. jadowitych, od których dostaje się płaszczyce oczu, to może być on jeszcze uznany dodatkowo przedstawicielem tendencji wizualnych. Pozornie systematyka taka jest słuszna; w rzeczy samej jest łatwa i pływka. Więcej, jest dalece myląca.

III

Niewielu jest ludzi, którzy lubią, jak im się wciera mydło w oczy, nawet jeżeli jest to mydło toaletowe w dobrym gatunku. Ja w każdym razie do nich nie należę. Zofia Artymowska pospół z Urszulą Czartoryską, autorką komentarza do jej wystawy, wciera mi mydło w oczy. Do Artymowskiej pretensji nie mam; sztuka jest, była i będzie kłamstwem — dowcip polega na tym, aby nadać jej wszelkie pozory prawdy, żeby uczynić kłamstwo tak dalece prawdziwym i przekonującym, że wreszcie przestaje ono być tylko kłamstwem. W sztuce wszystkie chwytły są dozwolone i nie jest to wynalazek naszego wieku. Tak dzieje się od prapoczątku, od malarstwa jaskiniowego. Rzecz w tym, czy widz na owe chwytły i sposoby da się złapać, czy też nie. Artymowska — można by rzec — „jest w prawie”.

Natomiast Czartoryska, komentując malarstwo Artymowskiej, wciera mnie i innym w oczy mydło i nie jest to mydło toaletowe, a jest to mydło szare. Bo jeśli pisze, że: „Faktem jest, że Zofia Artymowska rozpatruje najwytrwalej i najbardziej wnikliwie problem przestrzeni trójwymiarowej” to niestety, ale stojąc przed obrazami Artymowskiej, które przypominają mi akademickie wypracowania z kompozycji brył i płaszczyzn i to sprzed paru, paru latnych lat, muszę się z komentarzem Czartoryskiej nie zgadzać. Zresztą nie zgadzam się z tym komentarzem generalnie, traktuje on bowiem o sprawach, których śladów w malarstwie Artymowskiej ja osobście nie znajduję. Poza tym Czartoryska pisze, że Artymowskiej chodzi przede wszystkim o to, żeby systemem „... skojarszeń pobudzić widza i nie podzestając na tym skierować go na aluzje, jej zdaniem istotniejsze, bardziej otwarte, które ćwiczą sprawność percepcji wzrokowej, aluzje do uogólnionego, wynikającego z doświadczenia poczucia przestrzennego”. Ma się to odbywać przy pomocy wałców (przede wszystkim), które dzięki iluzji brylowości rozbijają płaszczyznowe, ustalają porządek perspektywiczny i wciągają wzrok w głąb, a także sugerują swoistą hierarchię wzajemnych odległości i proporcji. Trudno — chadzać na wystawy, obejrzeć ze sztuki, nie po to, aby ćwiczyć sprawność percepcji wzrokowej. Szukam w sztuce czegoś zupełnie innego. Niestety, na-

leżę do tych, kopalnych już chyba odbiorców sztuki, którzy szukają w niej ciągle jeszcze czło-więka i jego sprawa. Bezcelność moja sięga tak daleko, że nie widzę najmniejszych powodów, abym miał się tego wypierać lub wstydzić. Jeśli zaś idzie o malarstwo Artymowskiej, to w obrachach swoich jest ona rzeczywiście bardziej nauczycielka, niż malarzem, mimo że — jak zauważył Mieczysław Jagoszewski w „Dzienniku Łódzkim” — „poliformy jej świadczą nie tylko o wysokiej kulturze malarzkiej i (...) uczuleniu na kolor. Są one również niezwykle pracochłonne, ponieważ najbardziej charakterystyczne efekty wydobywa artystka operując niezwykle cienką a finezyjną kreską”.

Na marginesie przyznać się muszę, że nie wiem, czy określenie „pracochłonne” jest określeniem najpochlebniejszym z pochlebnych.

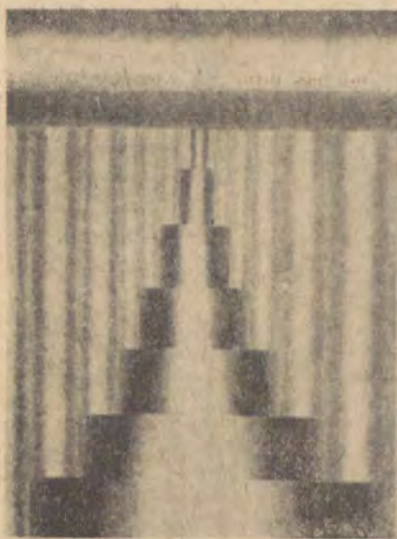
IV

Ja się zresztą mogę mylić. Jak każdy, Czartoryska pisze, że: „Poczucie przestrzenne to nawyk wyrobiony w dzieciństwie, dzięki któremu umiemy objąć stosownym ułożeniem palców rzeczy drobne i większe, pochwyć w locie piłkę, uchylić się przed czymś, co spada, rozróżniamy proporcje przedmiotów bliższych i odległych, słowem, umiemy pobudzać do współdziałania wzrok i nasze władze motoryczne”.

Cyrano de Bergerac nie miał poczucia przestrzennego, albowiem nie potrafił uchylić się przed cogą (czy doniczką) spadającą mu na głowę. Tomaszewski posiada daleko rozwinięte poczucie przestrzeni, bowiem parę razy skutecznie obronił naszą bramkę, pochwytywszy w locie piłkę. Nie wykluczone, że jestem z gatunku Bergeraców, bo obcowanie ze sztuką jałową, wyprana z treści humanistycznych, sprawia mi zawsze dojmującą przykrość i budzi mi sprzeciw.

V

„Sprawę poczucia przestrzennego autorka postawiła szczególnie ostro i szczególnie nieprecyzyjnie w obrazie „Drabina Jakubowa”, gdzie domniemana drabina kieruje nasz wzrok jednocześnie jakby pionowo i zarazem wciągająco wyraźnie w dół, rozciągliwą głębię, zabiorąc niemal jak owa tajemnica



Zofia Artymowska — Poliformy XXVI — SAMARRA

cza studnia, niemal bez kresu, w której basniowa mała Alicja z książeczki Lewisa Carrolla, znalazłszy się w „krajnie czarów”, wciągnięta została wbrew swojej woli i w której zatraciła poczucie głębi, szybkości i czasu, a nawet realnej proporcji między przedmiotami i poczucie trwałej skali własnej osoby. Być może doznanie „zatrącenia się” wyjaśnia coś z twórczości Zofii Artymowskiej — pisze Czartoryska.

Jeżeli może być tu mowa o jakimś zatrąceniu, to jedynie o zatrąceniu pojęć. Alicji w krajnie czarów” mówi o tym zdumiewającym dziełku: „Minęło wiele dziesiątków lat od chwili ukazania się „Przygód Alicji” w druku, nim zaczęto rozumieć, że jest to nie tylko wspaniała bajka dla dzieci, ale także arcydzieło opisu działania ludzkiej podświadomości. „Alicja” dla dzieci jest opowieścią pełną niezwykłych przygód, zdumiewających bohaterów, zabawnych wierszyków i nagłych zwrotów akcji, zupełnie zrozumiałych i przyjętych w królestwie bajki. „Alicja” dla dorosłych jest drugim, obok „Finnegans Wake” Joyce’a, arcydziełem, którego myślą przewodnią jest analiza umysłu ludzkiego, pograżonego we śnie. I tak, jak język „Finnegans Wake”, język „Alicji” rządzący jest gramatyką snu i rytmem snu: przenikanie, zwalnianie, powtarzanie, nagłe zmiany tematu i następowanie tuż po tym to dotyczy w jednakowym stopniu struktury akcji i języka. Lecz owa inność w stosunku do świata na jawie nie ogranicza się, oczywiście, do spraw tak zewnętrznych”.

Tendencje wizualne i konstruktywistyczne zostały na przykładzie malarstwa Zofii Artymowskiej ukazane, jak z powyższych luźnych uwag wynika, niezbyt fortunnie.

Problem ludzi starych jest problemem tak samo starym, jak starym jest świat.

Nomadowie przemierzający stepy czy pustynie, pozostawiali za sobą zniechęconych starców, do ostatnich granic spracowane kobiety, nie oglądając się za siebie wędrowali sobie wiadomymi szlakami, a starzy umierali pośród bezkresnego stepu, w skwarze pustynnego słońca, sami, bowiem los ich dopełnił się, a to, co w życiu ich miało się dokonać, dokonane zostało; więc byli niepotrzebni, byli ciężarem i zawadą dla silnych i młodych, nie nadawali kroku plemieniu, którego istotą i celem było iść ciągle naprzód; więc pozostawali w tyle, coraz bardziej w tyle, aż poza granice horyzontu.

Niektóre dzikie plemiona zamieszkujące tereny górskie zrzucały starych ludzi ze skał w przepaście, nie chcąc żywić tych, którzy chcieliby jeść nie mogąc już nie upolować.

U innych prymitywnych plemion ludzie starzy, gdy starość ich stawała się zawadą dla reszty współplemieńców, opuszczali wieś, odchodzili w busz czy w dżunglę i w ten prosty sposób odchodzili na zawsze.

W miarę rozwoju cywilizacji, a zatem w miarę rozwoju świadomości, człowiek zaczął szanować starość i otaczać ją opieką i szacunkiem. Ludzie stojące na wyższych szczeblach rozwoju w młodości wdziały dzielność, siłę i piękno; w starości dostrzegali i ceniły mądrość. Starożytni mawiali: — Jeśli nie umrzesz w walce młodym, pamiętaj, że nadejdzie czas, że będziesz starcem.

Historia, którą chcę opowiedzieć, jest historią bliłą, banalną, niewiele znaczącą; na pewno takich lub podobnych historii jest wiele, na pewno wielu z was styka się z nimi na co dzień, może nawet w taki czy inny sposób ma w nich swój udział, gra w nich jakąś tam swoją rolę. Doprawdy, nie opowiadam tej historii gwoli taniej sensacji, ani też nie jest moją ambicją uczynienie z niej jakowegoś moralitetu lub przypowieści.

Interesowali mnie zawsze ludzie w określonych sytuacjach, postawy ludzkie w określonych warunkach. Mniej obchodziły mnie mechanizmy stwarzające owe sytuacje, spłaty zdarzeń, które tworzyły taką czy inną

scenografię. Działanie człowieka, jego zachowanie, jego osobiste i indywidualne przeżycie stanowiło dla mnie zawsze fascynujący temat obserwacji i źródło niekończących się refleksji. Być może nie jest to stanowisko dialektyczne — ale nie zawsze można być dialektykiem.

Opowieść moja zaczyna się w starej kamienicy, od frontu upstrzonej ozdóbkami sztuków, gzymsów i balkonów z fantazyjnymi balustradami, a od oficyn pokrytych liszajami odpadającego, pozaciekane go tynku. Zresztą opowieść ta w tej samej kamienicy się kończy, chociaż gdybym chciał być przesadnie dokładny, to musiałbym powiedzieć, że tak naprawdę to kończy się ona na Cmentarzu Komunalnym; ale po cóż mamy w dżdżysty, jesienny, nawilgły, wietrzny i pochmurny dzień wlec się aż na cmentarz, tym bardziej, że nie spotkamy tam nikogo ze znajomych wśród żywych, którzy tam w ten dzień paskudny się znaleźli. Zaś do odwiedzania znajomych-nieobecnych zwykliśmy wybierać dni pogodne, słoneczne — późną wiosną na przykład, albo też wczesną złocącą się jesienią.

Kamienica stoi przy jednej z głównych ulic miasta. Już mniej więcej znamy jej wygląd; po przejściu bramy, obskurnej, jak większość bram w tym mieście, cuchnącej wiecznie ury-

ną, obrzydliwie brudnej, wchodzimy w długie, wyasfaltowane wąskie podwórze, otoczone piętrzącymi się aż do piątego piętra oficynami. Miejscem akcji jest lewa oficyna, pierwsze wejście, trzecie piętro, mieszkanie nr 17. Na drzwiach, które kiedyś były drzwiami kuchennymi, przybita jest mosiężna wizytówka z imieniem i nazwiskiem lokatora. Ale imię i nazwisko nas nie interesują; za tymi drzwiami pomalowanymi na ohydny, brudnoczerwony kolor mieszka Stary Człowiek. Umówmy się, że tak go będziemy nazywali, bo zapewniam was, że ani nazwisko ani imię nie mają tu żadnego znaczenia. Otóż w trzech wielkich i mrocznych pokojach, w kuchni równie wielkiej jak pokoje, w korytarzu długim i wąskim, w łazience z ogromną wanną, której emalia poczerwiała ze starości; mieszka Stary Człowiek. Kiedyś mieszkał tu z żoną

STARY

i córką. Wtedy mimo że większość okien wychodziła na mroczne podwórze, a tylko dwa na ulicę, gdzie przez kilka godzin rannych świeciło słońce, jeżeli akurat świeciło, było jasno i przytulnie.

Było przytulnie i jasno mimo że samo mieszkanie przedstawiało nieco dziwny widok: było w nim dużo starych mebli, dużo obrazów, dużo rupieci najrozmaitszego rodzaju, które to rzeczy w sumie stwarzały atmosferę niecodzienną, ale też niezwykle sympatyczną. Pewnego dnia w mieszkaniu tym zabrakło owego opiekuńczego ducha, owej ręki, która wprowadzała w ów dziwny świat pewien ład, porządek i ciepło. Pozostali w nim: ojciec, który nagle stał się Starym Człowiekiem i prawie dwudziestoletnia dziewczyna, która była jego córką. Dodać trzeba, że Stary Człowiek chorował od dawna; nie, nie chorował obłożnie, nie leżał mieszącym w łóżku bez czucia i woli. Miał po-

nące leniwie Sekwaną, Morskie Oko i zielone wzgórza Kornwalli, andaluzyjskie miasteczka rozpalone słońcem, smutnie, jodłowe lasy świętokrzyskie i czerwone, sieniejskie panoramy.

Nie był żadnym awangardowym malarzem, żadnym tam nowatorem. Ot, po prostu polski kolorysta, taki jakich wielu. Sprzedawał swoje dzieła, bo obrazy jego były pogodne i ładne. A ludzie bardzo lubią pogodne i ładne obrazy. Sprzedawał w Desie, sprzedawał za granicę. Słowem — w domu zawsze były pieniądze.

Jak się rzekło, córka miała coraz więcej spraw wyłącznie własnych, prywatnych. Żyła własnym życiem, nareszcie wolna, nieskrępowana. Ojciec musiał się z tym pogodzić, na bo jakie miał inne wyjście, powiedzcie? Próbował perswazji, próbował groźby, ale perswazje jego były perswazjami człowieka, który przeszedł swoje życie, a cóż one znaczą dla dwudziestoletniej dziewczyny. Groźby jego były śmieszne, bo grozić po prostu nie potrafił, a tym bardziej daleki był od ich egzekwowania. I wreszcie stosunki między nimi ułożyły się tak, że córka przychodziła do niego po pieniądze, i była to jedyna rzecz, której od niego chciała. A on z kolei był rad, że chociaż po to do niego przychodził i że może jej te pieniądze dawać.

Siedział więc Człowiek w pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę i malował swoje pejzaże, już teraz tylko z pamięci i im bardziej był sam, tym te pejzaże miały więcej słońca, więcej koloru. Powiecie, co za banal. Ano, cóż. W życiu o banal nie trudno. Córka zaś, zdarzało się, nie wracała na noc do domu, wracała pijana, przyprowadzała kolegów itd, itd. Też banal. Ano — banal.

Stary Człowiek czuł się coraz gorzej; lata, serce, niepokój — co ona wyprawia? Już nie rozmawiał nawet ze sobą. Z subtelnej dziewczyny nie zostało śladu. Modne kiecki modna mowa, modny styl.

— Nuda, woda i w dupie mam ten cały kram — to były jej słowa. Z uczelni wyrzucili — ojciec dowiedział się o tym po dwóch latach. Stary Człowiek zrobił się jeszcze bardziej stary. W mieszkaniu gnieździł się jakiś ludzki, coraz inni, coraz nowi. Mężczyźni przychodzili i odchodzili. Córka mówiła — A gówno cię to obchodzi, śpięprzaj do swojej kajuty. Pewnego dnia przyszła z jakimś facetem i powiedziała: — To jest mój mąż i będzie tu mieszkał.

Od tego dnia Stary zaczął przeskakać.

Życie córki po ślubie niewiele różniło się od życia przed ślubem. Libacyjki, różne party, Zakopane, Sopot. Stary dawał pieniądze, ale teraz było o nie coraz trudniej. Stary Człowiek starzał się coraz bardziej. Z domu zaczęły znikać antyki i obrazy. Kiedyś w napadzie złości córka zamalowała czerwona farbą Staremu kilka jego płócien, które zwróciła Desie, bo za długo stały. Innym razem rzuciła w niego talerzem — ot, takie sobie drobizgi. Zięć, będąc „pod alkoholem” wyrysował Staremu kredą ścieżkę przez korytarz, kuchnię, do obskurnie pomalowanych na brudnoczerwony kolor drzwi z numerem 17. — Tędy będziesz chodził i nie masz prawa wchodzić na nasze. Zięć uważał to za świetny dowcip. Kiedyś stary zszedł z wyrysowanej ścieżki i zięć pchnął go. Stary upadł i rozbił głowę o jakiś mebel. I tak to się bawiono...

Możemy sobie darować dalsze opowieści o tym, jak córka i zięć żyli w jednym mieszkaniu ze Starym Człowiekiem. Nawet srywać musiał chodzić do publicznego szaletu. Pochylał się coraz bardziej ku ziemi, ale nie należał do ludzi, którzy się skarżą. Gdzieś, w głębi siebie uznał, że przegrał. Przegrał życie i tę najważniejszą stawkę, jaką była przecież jego córka. A córka wypędziła męża i skurwiła się dokumentnie. Po prostu. Była świetną dziewczyną, więc i klientela była odpowiednią.

Stary jeszcze malował. Coraz mniej, ale coraz spokojniej. I te obrazy ostatnie Starego Malacza były naprawdę dobre, ale nie kupowano już ich tak, jak kiedyś. Widocznie rzeczywiście były dobre.

Była jesień dżdżysta i ponura, ostatnie dni jesieni, Stary nie wyszedł z pokoju jednego dnia, ani też następnego. Na których dzień córka przyszła po pieniądze. Jak zwykle. Znalazła Starego leżącego obok łóżka. Lekarz stwierdził, że od czterech dni nie żył. I to jest właściwie koniec całej historii. Historii banalnej. I teraz, kiedy ją wam opowiedziałem, doprawdy nie wiem, po co to zrobiłem. Bo przecież nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Nie ma w niej żadnej niezwykłości ani sensacji. Ot, taki sobie obrazek z życia rodzinnego. Może nie nadaje się on do oprawienia w ramkę i powieszenia na ścianie, ale nie wszystkie przecież obrazki wieszają się na ścianach. Są takie, które wrzuca się za szafę, upycha gdzieś na antresoli albo w piwnicy pospołu z innymi niepotrzebnymi gratami.

A córka? Córka jest nadal rozrywkową panią. W jej życiu nic się nie zmieniło poza tym drobnym faktem, że żadna stara pierdola nie płacze się po chatupie.

ANDRZEJ GRUN

JERZY WILMAŃSKI

Przodkowie

Nie wiem skąd przyszedł
może z bawarskim kuflem fajansowym
weszli z obawą pod słomiany dach
może w łapciach z tyka
a może wózkami na drewnianych kołach

Nie wiem skąd przyszedł
to nie ma znaczenia dla moich wróble jaskółek i wron

Było im ciężko i to wiem na pewno
wodę nosili z oddalonej studni
dzieckiem biegli po rosie z blizyskiem wikliny
umierali starcem wpatrzni w oborę
Jeśli któraś wojna nie pognąła w świat

Teraz ich znajduję w stanie Michigan
w kamieniołomach Gusen w tkalni Kunitzera
w ziemniakach wielkopolskich
i łyżeczkim chlebie

Bez daty urodzenia
paszport spłonął w wojnach
imiona porósł łopian i zatopił asfalt

Nie wiem skąd przyszedł lecz szli utrudzeni
żeby mi przynieść strzepy łapci z tyka
ziemniak z ogniska biel bawełny w włosy

Tyle mi dać mogli zmęczeni okrutnie
z wymierzonymi w plecy łufami Historii



Przebieranie

W lśniące zbroi tergalu
z żabotem ironii
z tuzinem legitymacji
z tą samą ciągle
jedną i samotną
nocą

Jesteś nagi w jej wnętrzu
uboższy o pewność siebie
sam na sam z pustą dlonią
z pustym wierszem
brulionem
którego nie pokreśliś
bo już nie czas na to

W przedpokoju garnitur
bistor kolorowy suszy się w łazience
schną zimne maszynopisy

Ten brulion nerwowo
chowasz na dnie szuflady

Noc się już różowi
program pierwszy cię wita
piosenką na dzień dobry
więc dlonie wypełniasz
zwitkiem maszynopisów
zeschniętych na wióry

Przygięty do świtu
jak beżebny starzec
sztuczną szczękę uśmiechu
ubijasz kneblem w usta

Jeszcze tylko zbroja
jeszcze tylko żabot

Możesz ruszać w miasto



scenografię. Działanie człowieka, jego zachowanie, jego osobiste i indywidualne przeżycie stanowiło dla mnie zawsze fascynujący temat obserwacji i źródło niekończących się refleksji. Być może nie jest to stanowisko dialektyczne — ale nie zawsze można być dialektykiem.

Opowieść moja zaczyna się w starej kamienicy, od frontu upstrzonej ozdóbkami sztuków, gzymsów i balkonów z fantazyjnymi balustradami, a od oficyn pokrytych liszajami odpadającego, pozaciekane go tynku. Zresztą opowieść ta w tej samej kamienicy się kończy, chociaż gdybym chciał być przesadnie dokładny, to musiałbym powiedzieć, że tak naprawdę to kończy się ona na Cmentarzu Komunalnym; ale po cóż mamy w dżdżysty, jesienny, nawilgły, wietrzny i pochmurny dzień wlec się aż na cmentarz, tym bardziej, że nie spotkamy tam nikogo ze znajomych wśród żywych, którzy tam w ten dzień paskudny się znaleźli. Zaś do odwiedzania znajomych-nieobecnych zwykliśmy wybierać dni pogodne, słoneczne — późną wiosną na przykład, albo też wczesną złocącą się jesienią.

Kamienica stoi przy jednej z głównych ulic miasta. Już mniej więcej znamy jej wygląd; po przejściu bramy, obskurnej, jak większość bram w tym mieście, cuchnącej wiecznie ury-

„TEMPO” — MEDIOLAN

Wielkie północnoamerykańskie grupy przemysłowe coraz bardziej przenikają do przemysłowych struktur wielu krajów kapitalistycznych za pośrednictwem wielonarodowych kompanii, działających poza granicami USA. Wyszary trochę liczb, by uwiarygodnić szeroką skalę tego zjawiska. Oto w 1945 roku 3.400 amerykańskich kompanii kontrolowało 4.658 kompanii zagranicznych. W 1966 roku liczba kontrolowanych kompanii zagranicznych wzrosła do 23.282! Jeśli chodzi o liczbę międzynarodowych kompanii z dominującym amerykańskim kapitałem, to pierwsze miejsce zajmuje Kanada — 4.360 kompanii, drugie Wielka Brytania — 2.310, trzecie Meksyk — 1.273, czwarte NRF — 1.150 kompanii, piąte Francja — 1.039, szóste Australia — 1.008, następnie Szwajcaria — 730, Włochy — 648, i Brazylia — 633 kompanie. Dane te dotyczą 1966 roku. Penetracja amerykańskich kapitałów poza granicami Stanów Zjednoczonych wskazuje na poważny problem przemysłowego kolonializmu USA w innych krajach kapitalistycznych, przede wszystkim w sferze kolosalnych zysków.

„OBSERVER” — LONDYN

Rozprawy sądowe przed trybunałem wojskowym przeciwko lotnikom i osobom cywilnym, oskarżonym o lojalność wobec Allende są jednym z aspektów nowej polityki junty chilijskiej. Wskazywanie na to, że lotnicy, którzy otwierali porty, takie jak stosowanie prądu elektrycznego, inscenizowanie wykonania wyroku śmierci, zaprowadzenie wody na dłuższy czas i inne. Tysiące chilijskich wtrąconych do obozów koncentracyjnych. Największym jest Chacabuco — była kopalnia selitry na pustyni Atacama, otoczona wokół drutami kolczastymi i polami minowymi. Niektórzy więźniowie zostali przewiezieni do więzień w Santiago. W ich liczbie znajduje się były minister spraw zagranicznych w rządzie Allende — Clodomiro Almeida, którego więziono przez kilka tygodni z zawiązanymi oczami i który obecnie jest ciężko chory. Wielu aresztowanych zmarło w więzieniach, nie wytrzymując męczarni i tortur. W marcu poinformowano oficjalnie o śmierci gen. Bacheleta, który pozostał wierny rządowi konstytucyjnemu, oraz o śmierci Chose Toa, byłego ministra obrony i spraw wewnętrznych w rządzie prezydenta Allende.

„UNITED PRESS INTERNATIONAL” — NOWY JORK

Sztuczny satelita Ziemi, pomocny podczas nawigacji statków kosmicznych dla dokładnego określenia ich położenia w przestrzeni, wykrył politykę mającą za sobą wielkie cele. Okazało się, iż geograficzne centrum brytyjskich kolonii Hong Kong znajduje się 240 metrów od punktu oznaczonego na współrzędnych mapach geograficznych. Dla tych, którzy lubią dokładność specjalistycznie podają nowe koordynaty geograficzne centrum Hong Kongu: 22° 16,903 minuty szerokości północnej i 114° 9,493 minuty długości wschodniej.

ETIOPIJSKA AGENCJA NARODOWA (ENA) — ADDIS ABEBA

Rząd Etiopii zaaprobował projekt ustawy o prawnym statusie komisji do badania faktów korupcji wśród członków byłego rządu. Zgodnie z projektem ustawy, członkowie komisji do spraw walki z korupcją nie mogą być usunięci ze swych funkcji wcześniej niż po dwóch latach. Komisja uzyska prawo do wdrażania śledztwa przeciwko każdemu członkowi rządu pełniącemu swe funkcje aktualnie lub zwolnionemu ze stanowiska oraz przeciwko każdemu obywatelowi i każdej organizacji.

„AKTUALT” — KOPENHAGA

Na uniwersytecie w stanie Floryda opracowano metodę badania organizmu ludzkiego, która pozwoliła stwierdzić, iż różne organy organizmu człowieka mogą posiadać „różny wiek fizjologiczny”. Oznacza to, że na przykład 40-letni człowiek może mieć serce 55-letniego człowieka, wątrobę 50-letniego, mięśnie 30-letniego, a mózg 99-letniego. I tak w wyniku szczegółowego przebadania lekarskiego tą metodą zdrowie organicznie młodej 17-letniej dziewczyny stwierdzono, iż ma ona serce 55-letniej kobiety, a mózg 77-letniej. Pewne wyobrażenie o tej metodzie daje następujący przykład: wiek płuc i układu oddechowego człowieka ustala się przy pomocy pomiaru szybkości wydzielania z krwi znaczących atomów azotu (małe dawki radioaktywnego azotu nie są dla organizmu niebezpieczne). Łowiąc wydychane powietrze i mierząc ilość cząsteczek radioaktywnych można zmierzyć szybkość wydzielania azotu. Im starszy jest wiek płuc, tym dłużej azot pozostaje w organizmie człowieka. Organizm 15-letniego chłopca wydalą 50 proc. azotu w przeciągu kilku minut, a organizm 50-letniego mężczyzny w przeciągu 4-5 godzin. Inny przykład: wiek naczyń krwionośnych ustala się przy pomocy wtryskiwania do nich radioaktywnego sodu, następnie rejestruje się go licznikiem Geigera. Jednocześnie mierzy się czas przechodzenia sodu przez naczyń krwionośne do serca. U 20-letniego mężczyzny proces ten powinien trwać 20 sekund. Jeżeli trwa on, powiedzmy 40 sekund oznacza to, że wiek naczyń krwionośnych liczy 40 lat. Ostatnio radioaktywnych izotopów używa się do ustalania wieku komórek.

Jak potoczą się dalej wydarzenia w Portugalii zapoczątkowane wojskowym zamachem stanu? Kim jest generał Antonio da Spinoła? Czas odpowie na te pytania. Tymczasem...

...Jesienią ubiegłego roku dwóch najbardziej znanych portugalskich generałów powróciło z Afryki do kraju. Obaj prowadzili tam wojnę kolonialną, zresztą jedyną wojnę kolonialną prowadzoną jeszcze przez jakieś państwo europejskie na kontynencie afrykańskim.

Pierwszym był gen. Causa di Arriaga, bezkompromisowy zwolennik twardej linii, który próbował zniszczyć afrykańskich partyzantów w Mozambiku przy pomocy tzw. „polityki kar i dławienia”. Drugim był gen. Antonio da Spinoła, niski, energiczny, nie zostający się z monokiem oficer kawalerii, wstawiony w okresie administracji najmniejszą kolonią portugalską Gwinei-Bissau swymi „liberalnymi” ideami walki z ruchem partyzanckim.

Spinoła witano w Lizbonie jak bohater. Podczas pięcioletniego pobytu w Gwinei-Bissau udało mu się zyskać popularność w środowisku młodych oficerów oraz w kręgach najbardziej liberalnej części lizbońskiego reżimu. Został też odznaczony najwyższym orderem portugalskim. „Za Odwagę” i powołany na stanowisko zastępcy szefa sztabu generalnego sił zbrojnych.

Gen. Arriaga przyjęto bardziej skromnie. Opuszczył Mozambik z piętnem na reputacji w wyniku doniesień prasy światowej o zbrodniach jego armii dokonywanych na cywilnej ludności afrykańskiej. Przesunięto go bez szumu na ważne, ale — z wojskowego punktu widzenia — dużo mniej odpowiedzialne stanowisko przewodniczącego rady do spraw energii atomowej.

Obu tym generałom nie udało się w Afryce osiągnąć zamierzonych celów. W Gwinei-Bissau w listopadzie ubiegłego roku partyzanci zniszczyli dwie trzecie portugalskich samolotów. W kilka dni po wyjeździe Spinoły z Gwinei-Bissau zgromadzenie naradowe zwolane przez tamtejszą partię ludową PAIGK ogłosiło niepodległość kraju. Po upływie miesiąca republika uznała ONZ, przy czym za rezolucją głosowały 93 kraje na 135 głosujących.

Po wyjeździe gen. Arriagi z Mozambiku siły miejscowego ruchu wyzwolenia FRELIMO dokonały trzech zaskakujących operacji bojowych: załadowały ważną strategicznie linią kolejową, łączącą port Beira z Salisbury w Rodezji, nieco na północ zaatakowały z powodzeniem koszary portugalskiego korpusu ekspedycyjnego i wreszcie posłały błąd strach wśród portugalskich kolonialistów, atakując liczne farmy. Od stycznia tego roku siły FRELIMO zajęły centrum Mozambiku, a ściślej mówiąc najbardziej bogaty rejon kraju. W ten spo-

sób partyzanci mozambijscy posunęli się już o 600 mil od ich faktycznej bazy.

W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się Portugalczycy w Mozambiku. W Gwinei-Bissau trwają dziś operacje opóźniające napór oddziałów partyzanckich. W Angoli, największej i najbogatszej kolonii, Portugalczycy z trudem powstrzymali oddziały wyzwoleńcze, a i to tylko dlatego, iż partyzantom nie udało się na razie oswoić większego terytorium. Niemniej dysponują oni raketami ziemia-powietrze, zadając ciężkie straty lotnictwu portugalskiemu. W Mozambiku jednak b. premier Caetano miał duże trudności z białą mniejszością portugalską, stanowiącą zaledwie 3 proc. ogółu ludności, która jest coraz bardziej zaniepokojona sukcesami FRELIMO i rozczarowana małą efektywnością działań wojsk portugalskich.

naianą liczbę. Na południu, w kopalniach Kassinga, dopiero rozpoczyna się eksploatacja złóż bogatej w zawartość kruszczy rudy żelaza, ocenianych na miliardy ton. Ale naturalne bogactwa tego kraju są jeszcze tak mało zbadane, iż prawie połowę eksportu stanowią dotąd produkty rolne. Na przykład pod względem produkcji kawy Angola zajmuje czwarte miejsce w świecie. Sądząc po wszystkim może się ona stać jednym z najbogatszych krajów w Afryce Południowej, pod warunkiem oczywiście, że poczyni się tutaj niezbędne inwestycje i wprowadzi się niezbędną technikę, które przyspieszą rozwój kraju.

Jednakże cena, którą musi płacić Portugalia za kontrolowanie tych terytoriów stale rośnie. Każdy czwartki Portugalczycy w wieku poborowym służą w armii kolonialnej. A wydatki wojenne Portugalii, na przestrzeni ostatnich pięciu lat, zwiększają się

kształkając ją w instytucje. Czy takie jest nasze zadanie? Na pewno nie.” Spinoła zawsze dążył do tego, by Portugalia pozostała w Afryce, żeby stamtąd nie odeszła. Występuje on o „polityczne rozstrzygnięcie, już wypróbowane w praktyce z niezaprzeczanym powodzeniem.”

Mowa tu oczywiście o jego własnych „rozstrzygnięciach”, odnośnie szerokiego udziału Afrykanów w rządzeniu „podopiecznym terytorium”. Spinoła wypróbował tę metodę w Gwinei-Bissau, jednakże jej walory okazały się tam bardzo wątpliwe. Nie widzi on jednak innego wyboru. Przeróżająca cena wydatków na wojnę dyktuje konieczność zmiany polityki. „Jakkolwiek strategia — pisze on — oparta na twardej realizacji polityki narzucania tak ciężkiego brzemienia wojennego doprowadzi koniec końców do zagrożenia samych celów egzystencji narodowej, w imię których ponosi się wszystkie te ofiary.” Dlatego przeznaczyc na „inwestycje pokojowe”.

W tym tkwi podstawowy element jego wystąpienia. Wiadomo, iż poglądy Spinoły poparł szef sztabu generalnego Francisco da Costa Gomes. Nawet b. premier Caetano publicznie przyznał słuszność niektórym ideom Spinoły. Ale za wszystkimi tymi wystąpieniami generała, jak mówi się w dobrze poinformowanych kręgach portugalskich, stoją dwa najpotężniejsze koncerny przemysłowe w kraju: CUF i grupa Champalimauda.

„Compania da unian fabril” (CUF) jest największym koncernem przemysłowym w Portugalii. Jest to konglomerat stu kompanii z majątkiem sięgającym miliarda funtów szterlingów, to jest dziesięciu procent całego kapitału akcyjnego w kraju. CUF operuje dosłownie w każdej wielkiej gałęzi przemysłu portugalskiego. Koncern tak dalece kontroluje ekonomikę Gwinei-Bissau, że w Portugalii od dawna już nazywa się tamtejszą wojnę kolonialną „wojną koncernu CUF”. Jednakże ostatnimi laty CUF traci pieniądze na gwinejskich operacjach. Rada kierownicza koncernu pochwalala politykę Spinoły w tej kolonii. Obecnie, stając twarzą w twarz z wyzwaniem Wspólnego Rynku koncern jest wyraźnie zaniepokojony niezdolnością Portugalii do rozszerzenia pokojowych inwestycji w takim stopniu, żeby stawić czoła wyzwaniu EWG.

Grupa Champalimauda jest, mniej więcej, dziesięciokrotnie mniejsza od CUF, ale zajmuje centralne miejsce w ekonomice Angoli, Mozambiku i nawet Portugalii. Obecnie grupa ta kontroluje w koloniach produkcję cementu, a także odgrywa wiodącą rolę w operacjach bankowych i ubezpieczeniowych. To właśnie Spinoła zdobyl dla Champalimauda licencje rządową, która pozwoliła jej stworzyć krajowy przemysł stalowniczy i w przeciągu kilku lat gen. Spinoła był członkiem zarządu tej kompanii metalurgicznej. Szum wokół książki Spinoły ma więc o wiele większe znaczenie niż tylko zwyczajny spór o celowości ochrony imperium kolonialnego. A komentator „Sunday Times” stawia nawet wyraźne kropki nad „i” pisząc iż „Spinoła jest wyrazicielem idei najpotężniejszych wielmożów Portugalii”.

JERZY CZECH

KOGO REPREZENTUJE GEN. DA SPINOŁA?

Dlatego to w początkach tego roku Caetano próbował utrzymać równowagę między nieustępliwą pozycją sił skrajnie prawicowych w Lizbonie, a tzw. „liberalami” (do których zalicza siebie Spinoła), dążącymi do politycznego rozwiązania konfliktu kolonialnego. Być może, przez jakiś czas Caetano zdołałby utrzymać tę równowagę. Ale nastąpiło wydarzenie, które nieoczekiwanie zmieniło sytuację: 22 lutego br. ukazała się niewielka książka gen. Spinoły pt. „Portugalia i jej przyszłość”. I oto z trudem utrzymywana równowaga zachwiała się gwałtownie. Z doniesień prasy wiadomo, iż Spinoła i jego szef zostali odwołani ze stanowisk, a armię zaczęto „oczyszczać” od zwolenników generała.

Dążenie Portugalii do „pozostania” w Afryce za wszelką cenę jest związane z faktem, iż dwie największe kolonie portugalskie: Angolia i Mozambik są zasobne w ogromne bogactwa naturalne. Weźmy tylko Angolię. Na północy, w Kabinzie, cały las szczytów naftowych już teraz daje 150 tysięcy baryłek ropy naftowej dziennie, co dwukrotnie przekracza potrzeby Portugalii. Zasoby ropy oblicza się skromnie na 300 milionów ton, ale nawet jeśli odrzucić przypuszczenie, iż cały rejon Kabinzy jest „drugim Kuwejtem”, to i tak ekspertyzy utrzymują zgodnie, że miejscowe złoża ropy dwukrotnie przewyższają wspom-

permanentnie o 12 proc. rocznie, stanowiąc około 50 proc. budżetu kraju.

Portugalia jest wycieńczona wojną i chociaż wydatki inwestycyjne w kraju rosną rocznie o jedną czwartą, a nawet o jedną trzecią, to jednak potrzeby wojenne przewyższają wpływy. Umowa handlowa, podpisana z Europejską Współnotą Gospodarczą w lipcu 1972 roku, rokuje ponoc znaczne pozytywne zmiany w dziedzinie portugalskiej ekonomiki. Ale to w teorii. Ekonomistów bowiem niepokoi fakt, iż w połowie 1977 roku większa część najbardziej chwalebnych galezi przemysłu krajowego nie będzie się mogła obronić przed silną konkurencją krajów Wspólnego Rynku.

Na samą myśl o takiej perspektywie Portugalczycy przemysłowcy dostają gęsiej skórki, toteż coraz głośniej wołają o zwiększenie „pokojowych inwestycji” zamiast wydatków wojennych. Właśnie na tym polega sens książki gen. Spinoły. W ten sposób niedwuznacznie atakuje on najbardziej „święte” ideały portugalskich kolonizatorów. „Powinniśmy obalić mit, że brońmy Zachodu i jego cywilizacji” — pisze Spinoła. Uderza on także i w wojnę kolonialną. „Chcieć wygrać wojnę z partyzantami drogą rozstrzygnięć wojskowych, to znaczy już z góry uznać klęskę, jeśli brak ku temu nieograniczonych możliwości przedłużania wojny w nieskończoność, prze-

► DOKĄD ZMIERZA PORTUGALIA?

► JAKA BĘDZIE FRANCJA PO POMPIDOU?

W polu obserwacji komentatorów utrzymują się w ostatnich dniach dwa kraje: Portugalia i Francja. Pierwszy z uwagi na dokonywane tam przemiany, drugi — z uwagi na wybory prezydenckie. Oba te tematy warto podjąć w naszym komentarzu.

Wydarzenia w Portugalii wydają się wskazywać, że po 40 latach faszystyzmu Salazara i Caetano kraj ten może wejść na drogę demokratycznych przemian. Zapowiadają to poniesienie gen. de Spinoły, a przede wszystkim: zwolnienie więźniów politycznych i ogłoszenie amnestii dla tych wszystkich, którzy zdezerterowali z armii lub nielegalnie opuścili kraj, aby nie uczestniczyć w wojnie kolonialnej, zlikwidowanie polityki politycznej, zapowiedź utworzenia rządu tymczasowego, którego zadaniem będzie przygotowanie powszechnych wyborów, a także przywrócenie pokoju w koloniach afrykańskich oraz ogłoszenie 1 Maja oficjalnym świętem. Do tej listy pozytywnych kroków „Junty Ocalenia Narodowego” dodać trzeba oświadczenie rzecznika Komitetu Ocalenia o gotowości władz portugalskich na-

wiązania stosunków dyplomatycznych z krajami socjalistycznymi oraz uznanie Frontu Wyzwolenia Mozambiku za ugrupowanie polityczne.

Wszystkie te decyzje Spinoły mógł podjąć, ponieważ wspiera go wojsko, które radykalizuje się pod naciskiem mas. Ale ten właśnie fakt — oparcia się o siły militarne może skłaniać do zastanowienia się, jak sytuacja rozwinięta dalej. W Portugalii prawica jest jeszcze silna i ma możnych zagranicznych protektorów. Może więc ona wpływać na pohamowanie przemian, a nawet na odwrót od wielu dotychczasowych zapowiedzi, zwłaszcza, że w jej ręku jest gospodarka portugalska. Gdyby siłom pracującym udało się pozyskać wojsko — Komitet Ocalenia Narodowego utraciłby możliwość działania. Obecnie nie nie wskazuje na taką ewentualność, ale przecież nie można jej wykluczać.

To, co dalej dzieć się będzie w Portugalii zależy również od współpracy wojska z partiami politycznymi, a zwłaszcza lewicowymi, które wyszły z podziemia. Przemawiając z okazji uroczystości 1-Majowych sekretarz generalny Portugalskiej Partii Komunistycznej — A. Cunhał podkreślił, że niezbędny jest sojusz

wszystkich sił postępowych oraz ścisła jedność ludu z wojskiem, które obalilo faszystowski rząd. Wysunął on hasło ustanowienia w kraju ustroju sprawiedliwości społecznej.

Wydarzenia w Portugalii zasługują na baczną obserwację i z pewnością do nich jeszcze powrócimy. Tymczasem przenieśmy się do Francji.

Doniesienia agencji o przebiegu pierwszej tury wyborów prezydenckich wyprzedzają czas druku „Odgłosów” i pozwolą Czytelnikom stwierdzić, czy prognozy z ostatnich godzin przed wyborami były słuszne. A wynikało z nich, że w pierwszej turze żaden z 12 oficjalnie zarejestrowanych kandydatów, a praktycznie 3 liczących się, nie osiągnie bezwzględnej większości. Dlatego powszechnie oczekiwano, że prezydenta Francji wyłoni dopiero druga tura. W tej głównej bój rozegra się między kandydatem zjednoczonej lewicy — Mitterrandem, a Chaban-Delmalem lub Giscardem d'Estaing — kandydatami obozu rządowego. Ostatnie sondaże przed pierwszą turą wskazywały na Giscarda d'Estaing jako tego, który uzyskałby więcej głosów niż Chaban-Delmas zmusi byłego premiera rządu francuskiego do rezygnacji z drugiego głosowania.

Chociaż kampania wyborcza we Francji dotyczyła przede wszystkim problematyki gospodarczej i społecznej, co uzasadnia złożona sytuacja wewnętrzna, jednak każdy z trzech głównych kandydatów na prezydenta wypowiadał się również na temat polityki zagranicznej. I każdy podkreślał potrzebę kontynuacji dotych-

czasowej linii. Wszyscy opowiedzieli się za dalszym rozwojem stosunków ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi. Mitterrand stwierdził, że ten kierunek w pełni aprobuje, Chaban-Delmas mówił o potrzebie pogłębienia polityki współpracy, a Giscard d'Estaing przypominał, że to właśnie on rozwijał współpracę gospodarczą z ZSRR. Piszący o tym dlatego, aby podkreślić, że wybór nowego prezydenta Francji nie wpłynie na jej politykę zagraniczną, której podstawy wypracowali de Gaulle i Pompidou.

A politykę wewnętrzną? Tu — oczywiście — różnice w programach wyborczych trzech głównych kandydatów są zasadnicze. Program Mitterranda — to program zasadniczych reform strukturalnych, prowadzących w kierunku socjalistycznym. A Chaban-Delmasa i Giscarda d'Estaing? Pierwszy z wymienionych wysuwa koncepcję budowy nowego społeczeństwa, drugi — likwidacji największych niesprawiedliwości.

Wybory francuskie dawno już nie wzbudzały tak dużego zainteresowania, jak w roku bieżącym. Stało się tak, ponieważ szanse kandydata lewicy: Francuskiej Partii Komunistycznej, Partii Socjalistycznej i Ruchu Lewicowego Radyków po raz pierwszy były wyrównane.

W. SŁAWSKI

W stosunkowo krótkim czasie wracam znów do spraw rozrywki. Wielkimi krokami zbliża się oto sezon festiwalu, ale zanim to nastąpi przytyła fala doniesień prasowych z całej Polski podsumowujących niedawne Polskie Targi Estradowe.

Tak to już bywa, że nieraz opinia publiczna kraju uświadamia nam ważność naszych własnych inicjatyw. Wiedząc zaś, że statystyczny czytelnik łódzki nie prenumeruje całej polskiej prasy, dam małą próbkę...

Oto „Dziennik Bałtycki” pisze w artykule zatytułowanym „Dyrektor Józwiak zwyciężył...”: „Targi nie rozwiązując bynajmniej nabrzmiałych problemów organizacyjnych nie tylko polskiej estrady, a — szerzej — całej naszej rozrywki, są jednak imprezą bardzo potrzebną. Są furką, przez którą powinny się weisnąć na polskie estrady rzeczy nowoczesne, dopracowane, świeże. Chwała więc Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej w Łodzi za ich realizację”.

A ślaska „Panorama” pisze: „dajemy Łodzi piątkę za inicjatywę i wielki rozmach organizacyjny (...). Wreszcie coś się ruszyło w tej bezwładnej machinie i choć zardzewiała kola

skrzypia, lodzianie dolewają oliwy, by kola kręciły się coraz sprawniej (...) jak się uda, będzie to jedna z największych i najciekawszych imprez estradowych w kraju...”

Udało się! Zarówno przed imprezą jak i po niej Polskie Targi Estradowe mają znakomitą prasę w całym kraju. Jest to także szczęśliwa passa prężnego SME i jego szefa, Andrzeja Józwiaka. Początkowo nikt w to przedsięwzięcie nie wierzył. Dziennikarze — spece od rozrywki, oblatani po festiwalach i przeglądach, wzruszali ramionami przed plakatem z imprezami giełdowymi. „Sześćdziesiąt pokazów — mówiono — to jakaś bajda, to niemożliwe, nie opanują tego nawet organizacyjni...” Zaczęto sprawdzać. Dzieleno się na grupy, wymieniano spostrzeżenia, porównywano z programem...

O dziwo, wszystko się zgadzało, nie było żadnej lipy, koncerty odbywały się jak w zegarku. Drugiego dnia uwierzono w ten fenomen.

Myślę, że warto wymienić po nazwisku ten niewielki przeciż sztab ludzi, którzy zrealizowali tę gigantyczną

imprezę, w którą początkowo nikt nie wierzył. Oto oni: Andrzej Józwiak, Leszek Piasecki, Stefan Kwaśniak, Janusz Rzeszewski, Ryszard Czubaczyński, Wiesław Szczotkowski, Jerzy Woźniak i jeszcze paru pracowników Stowarzyszenia.

Dowiedli, czego dokonać może pasja i dobra robota — bez pomieszczeń na próby, bez odpowiedniego zaplecza, bez... właściwego lokalu nawet, mimo sztynnych i nie zawsze najładniejszych przepisów formalnych, do których jednakże musiano się stosować. Słowem organizatorzy zaprezentowali nie tylko talent i umiejętności, ale także dużą odporność psychiczną, że w ramach skostniałych przepisów, norm i stawek potrafili doprowadzić do tej wielkiej imprezy.

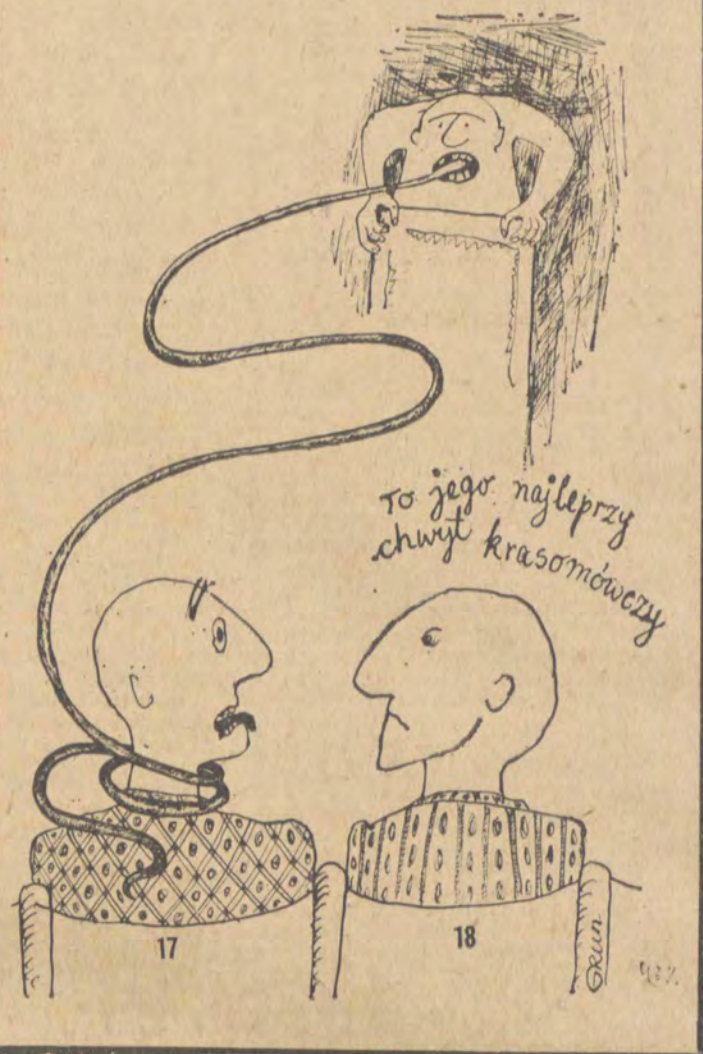
Zaprezentowali także elastyczność impresaria z prawdziwego zdarzenia, polegającą na umiejętności wyczuć i przystosowania się do potrzeb odbiorcy. I tego rodzaju elastyczność miałem na myśli, pisząc o Targach trzy tygodnie temu — nie elastyczność wobec przepisów, bo te są takie same dla wszystkich.

Myślę, że nie od rzeczy będzie zacytowanie tu definicji po-

jęcia „impresario”, definicji nie byle kogo, bo Jerzego Waldorffa. Pisze on: „Impresariem nie można być z nominacji, dlatego, że jakiś dyrektor musi przejść z jednego kierowniczego stanowiska na drugie (...) Impresario to talent, podobnie konieczny, jak u każdego innego, odnoszącego sukcesy artysty, gdyż być impresariem znaczy być artystą i to szczególnie wszechstronnego gatunku”. I właściwie ową wszechstronność nazwałbym elastycznością wobec potrzeb masowej rozrywki.

Jak słyszę, Stowarzyszenie Muzyki Estradowej ma wreszcie otrzymać od miasta przyzwoitą bazę działania, odpowiednie zaplecze i scenę będącą zaczątkiem kombinatu rozrywkowego. Nie jest to sprawa marginesowa. W miarę zwiększania się dni wolnych od pracy (wolne soboty itp.) problem zagospodarowania wolnego czasu młodzieży — nie tylko młodzieży — staje się problemem pierwszoplanowym. Stowarzyszenie utrafiło swym działaniem w samą dziesiątkę.

WIDOK





CAMUS

Albert Camus zginął w wypadku samochodowym 14 lat temu. Pozostawił po sobie powieści „Dzuma”, dwa większe opowiadania: „Obcy” i „Upadek”, zbiór nowel: „Wygnanie i królestwo”, 4 dramaty: „Kalgula”, „Nleporozumienie”, „Salto obrotowe”, „Sprawiedliwi”, dwa tomy szkiców filozoficznych: „Mit Szyzofa”, „Człowiek z zębami” oraz bogata esejystykę.

Państwowy Instytut Wydawniczy dał czytelnikom drugie wydanie esejów Alberta Camusa. Jest to wybór dokonany przez Joannę Guze. Wybór wcale nie interesujący i wart uważnego przeczytania.

Albert Camus — „Eseje”, wybór i przekład Joanny Guze, PIW, Warszawa — 1974, str. 558, cena: 35, —zł.

DIENNIKI STENDHALA

Dzienniki ludzi słynnych zawsze budziły duże zainteresowanie, pozwalając poznać bliżej ich życie, które dość często ukazano w sposób daleki od prawdy. Lektura dzienników pozwala niemal na co dzień obcować z ich autorem, poznać jego sady, odczucia i myśli, pierwotnie nie przeznaczone dla czytelnika, a później będące już tylko dokumentem o rzetelnie świadczącym autorze i jego czasach.

Stendhal — „Dzienniki”, wybór i przekład Felicia Sniatecka-Wowerowa, PIW, Warszawa — 1973, str. 481, cena: 60, —zł.

NA DRUGIM KOŃCU ŚWIATA

Australia stanowi dla nas drugi koniec świata. Położona na uboczu głównego nurtu politycznych wydarzeń, nie budzi szczególnego zainteresowania. Stąd i historia tego kraju nie należy do najpopularniejszych. I oto Państwowy Instytut Wydawniczy dał nam okazję do zaznajomienia się właśnie z przeszłością Australii. Ukazała się bowiem w druku książka Wybitnego niemieckiego etnografa — Fredericka Rose, zasłużonego badacza autochtonicznej kultury australijskiej.

Frederick Rose — „Pierwotni mieszkańcy Australii”, przekład Gabriela Mycielskiego, PIW, Warszawa, — 1973, str. 136, cena: 30, —zł.

ANTOLOGIA KRYTYKI

W niewielkim, trzystygodniowym nakładzie ukazała się „Antologia współczesnej krytyki literackiej we Francji”, w opracowaniu Wojciecha Karpńskiego. Lata powojenne we Francji to okres gwałtownego rozwoju nowych metod badań dzieła literackiego, opartych na współczesnych prądach filozoficznych i ideologicznych. Wybór prac krytyków francuskich, przygotowany przez Wojciecha Karpńskiego, ma na celu zapoznanie polskiego czytelnika z najbardziej znaczącymi przedstawicielami tzw. „nowej krytyki” francuskiej. Jak pisze autor opracowania we wstępie, interesowała go „konsekwencja w realizowaniu pewnej postawy wobec dzieła literackiego, bez względu na ocenę zasadności samej tej postawy”.

„Antologia współczesnej krytyki literackiej we Francji”, opr. W. Karpinski, Czytelnik, W-wa, 1974, str. 423, cena 73 zł.

„STO LAT SAMOTNOŚCI”

Gabriel Garcia Marquez jest kolumbijskim i dziś jednym z najbardziej słynnych pisarzy latynoamerykańskich średniego pokolenia. Jego kariera literacka rozpoczęła się dość wcześnie, w dwudziestym roku życia wydał swoje pierwsze opowiadanie. Potem przyszły następne zbiory opowiadań i powieści, z których „Sto lat samotności”, wydana w roku 1964, okazała się w 1970 w przekładzie polskim. Kolejna powieść „Sto lat samotności” pochodzi z roku 1967, a obecnie znalazła się na liście przekładów PIW-owskiej serii „Współczesna Proza Światowa”.

Gabriel Garcia Marquez — „Sto lat samotności”, przekład G. Grudzińska i K. Wojciechowska, PIW W-wa, 1974, str. 401, cena 35 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Remarque E.M. „Noc w Lizbonie”, PIW, cena 21 zł. Kukulski J. „Światowa piłka nożna”, WSIT, cena 88 zł. Edgley J. „Śmierć czeka pod oknem”, Iskry, cena 30 zł. Alex J. „Cichym śmigłom kołotem...”, W. Lit, cena 20 zł. Cabanis J. „Igranie z nożem”, PIW, cena 25 zł. Filar A. „Lauri nie śniegu”, MON, cena 30 zł. Byron „Pozycja”, PIW, cena 25 zł. Złutecki M. „Przepraszam — żartowałem”, Iskry, cena 35 zł. Czartoryska U. „Od pop-artu do sztuki konceptualnej”, WAIF, cena 30 zł.

FILM

MURZYN NA DZIKIM ZACHODZIE

Amerykański film „Mc MASTERS”, reżyserowany przez Szweda Alfa Kjellina, reklamuje się jako western wedle zasady, którą wyznacza zewnętrzny sztafaż. Westernem zwykło się nazywać każdą filmową opowieść, której akcja osadzono w miejscu i czasie dla gatunku tego zarezerwowanym. Choć układ konfliktu dalece odbiega od przynależnych gatunkowi temu konwencji, wystarczy zobaczyć typowy pejzaż i kostium, by rzecz przypisać jednej filmowej tradycji. A przecież „Mc Masters” nie prowokuje nawet do rozmyślań o ewolucji westernu, pozostaje natomiast w kręgu głęboko w tradycji amerykańskiej literatury i filmu zakorzenionego dramatu społecznego, który wyznacza temat realizmu. I jeśli film ten rozpatrywać, to raczej właśnie w kontekście tego nurtu filmowych dokonań, niżeli w tradycji westernu.

Problem realizmu był i zapewne pozostanie jednym z głównych tematów tego nurtu kina amerykańskiego, który określa stopień zaangażowania w podstawowe zagadnienia życia społecznego. Nie brakuje w historii amerykańskiego kina filmów zrodzonych z idei Ku-Klux-Klanu, pojawiały się utwory, którym patronował duch „Chaty Wujka Toma”, proponowa-

no filmy niosące szlachetne idee tolerancji poprzez szlachetne postawy jednostkowe, takie, jak na przykład w filmie „Zabić drożdża”, realizowano filmy pozbawione sentymentalizmu poprzednich, takie, jak „Obława” czy „W upale nocy”, powstały filmy niosące problem realizmu samego, lecz pozbawionego analizy konfliktów klasowych — widać to na przykład w „Chłodnym okiem” czy w ostatnio u nas pokazywanym „Prawie gwałtu”. Temat powraca i powracać będzie, jeśli kino traktuje się jako swoisty próbnik społecznego sumienia.

„Mc Masters” realizował przybył z Europy, co samo w sobie jest przypadkiem nie odosobnionym, lecz ciekawym. Ludzie z zewnątrz Ameryki widzą może sam problem realizmu ostrzej, nie potrafią jednak zapewne dostrzec do wszystkich wewnętrznych tego tematu. Alf Kjellin, sięgając do historii, uniknął współczesnych dylematów samego zagadnienia. Wpisując sam problem w historyczny kontekst pierwszych lat po zwycięstwie Północy, odniesionym w wojnie domowej nad Południem, wrócił niejako do źródeł jednego z podstawowych konfliktów społecznych również dzisiejszej Ameryki. Czy

ilustracyjność wobec przyjętych tez. To, co najbardziej w filmie tym interesujące, to wspomniane wyżej zwrócenie uwagi na towarzyszący akcji, rozgrywającej się na Dzikim Zachodzie, wątek Indian. Czarny bohater filmu w obliczu zagrożenia ze strony białych zwraca się do czerwonych. Ci traktują go jednak na równi z białymi, choć przez nich przesładowany w obliczu prawa jest wolny i posiada ziemię, tę ziemię Indianom odebraną. Między Murzynom i Indianami nie dojdzie do rasowej solidarności, udziałem w momencie ostatecznego zagrożenia pomoc będzie odwruchem z jednej strony swobodnego sentymentu, z drugiej — zemsty, na w końcu, sąpólnym wrogu. Fakt ostatecznego rozstrzygnięcia przedstawicieli obu uciśnianych ras jest więc w tym filmie zwróceniem uwagi na klasowy moment tkwiący również w ogólnym problemie amerykańskiego realizmu. Sprawa ukazana w filmie „Mc Masters” powraca we współczesnych obrazach tego zagadnienia.

Wartości filmu Kjellina dopatrywać się można również w technicznym autentyzmie wizerunku miasteczka i jego mieszkańców, który odbiega od tego, do czego właśnie westernowa legenda nas przyzwyczaila. Prymitywizm, brud, skromność czystości wyziera ze wszystkich zaułków, z mieszkań, balkonów i kościoła. A więc „Mc Masters” ma również swój udział w procesie burzenia legendy przez kino kulturowane.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

CO LUDZI ŁĄCZY?

Bohaterowie fabul opowiadań przez Krzysztofa Zanussiego w filmie i w telewizji nie wykraczają poza obszar precyzyjnie sformułowanych przez reżysera znaczeń. Bogactwo reakcji, słów i mikrozdarzeń mimo uderzającego autentyzmu nie rozwija się swobodnie w granicach przedstawionego świata. Podlega pieczołowitej instrumentacji, której cel nadrzędny jest znany i założony od początku. Zanussi respektuje podstępnie rzeczywistość, ale w tym tylko stopniu, w jakim służy jego myślowym zamiarom i potwierdzają je. Gdyby sformułować ogólny problem tej twórczości jako dotkliwy brak międzyludzkiego porozumienia to okazałoby się, że to wybitnie społeczne zagadnienie ilustruje reżyser środkami tradycyjnymi. Jedynie w „Strukturze kryształowej” wiązania dramatyczne były luźne i fabuła rozwijała się leniwie. Także „Iluminacja” zrealizowana w formie filmowego eseju liczyła na widza cierpliwego i rozumnego. Natomiast w pozostałych filmach reżyser ujawniał warsztatową zrecznosc w manipulowaniu uwagą odbiorcy. Intelktualne sensy osadził w konstrukcjach solidnych i nie pozabawionych częstokroć sensacyjnego wdzięku. Idealnie opanował potrzeby krótkiej formy filmu telewizyjnego.

Zanussiego ulubiony. W międzyludzkich kontaktach, które reżyser inscenizuje zachodzi z reguły pewna interesowność jednej ze stron. Cel tej interesowności jest różny: od uratowania ludzkiego życia („Twarza w twarz”) poprzez potrzebę przetrwania („Życie rodzinne”) do profilów życiowej kariery („Zaliczenie”, „Góry o zmierzchu”, „Za ścianą”). Interesowność dynamizuje konflikt i uruchamia znaczenia filmu. Staje się jednocześnie wehikułem narastającego napięcia i projektowanej ideologii.

Na pytanie humanisty: co ludzi łączy? Zanussi odpowiada niezmiennie: nadzieja zysku. Cynizm tej odpowiedzi jest pozorny, albowiem Zanussi w pełni dostrzega moralną komplikację tak streszczonego uwiłku ludzkiego. Moralna kondycja jego duetów nie jest jednoznaczna w kolorach. Moralistyczna pasja zgłębiania natury ludzkiej prowadzi Zanussiego w stronę dyskretnych dydaktyki humanistycznej. Jednocześnie przesłanie etyczne pojawia się jako wynik negacji obojętnej zdarzenia, ponieważ w nim samym próżno byłoby szukać prostych norm i drogowskazów. Mimo ogromnej subtelności, z jaką Zanussi aranżuje swoje filmowe procesy przeważnie zatruć moralnego instynktu spotykają go jednak zarzuty mentorstwa. Istotnie, podziwiająca inwencje w reprodukowaniu ludzkich gestów nie sposób uwolnić się od przekonania, że autor jedynie zrecznie przypomina nam naszą wiedzę o człowieku a nie potrafi zaskoczyć nas nową obserwacją, która nie wyjaśnia

tak posłusznie do końca swoich sensów. Jeżeli „Za ścianą” jest utworem tak wieloznacznym i przebijającym to dlatego, iż jego bohaterowie szczęśliwie wymykają się spod apodyktycznej dyktandy reżysera i rozwijają tajemniczą nadwyżkę znaczeń, której ten nie przewidział.

„Rola” ani przez moment nie wypada z konwencji filmu „bien fait”. Tym razem — a jest to bodaj jedyny wypadek w twórczości Zanussiego — inspiracja była literacka. Jednakże motywy opowiadania węgierskiej pisarki Magdy Szabo zostały charakterystycznie przetworzone w problemowym rejestrze zainteresowań reżysera. Konflikt zarysowany w filmie narzuca się siłą oczywistego podobieństwa do „Życia rodzinnego”. „Rola” była zresztą wcześniejsza i stanowiła swego rodzaju uverture do tamtego spektaklu. Zwalazca kreacja Jana Kreczmarra uzyskała tam rozwinięte przedłużenie.

W sensie bardziej ogólnym „Rola” powtarza w nowym ujęciu motywy przenikające niemal wszystkie filmy Zanussiego. Konfrontacja dwóch biegunów ludzkiego życia: młodości i starości, interesuje reżysera od pierwszego, jeszcze szkolnego filmu, czyli od „Śmierci prowincjalca”. Przywołanie tego tytułu stwarza istotny kontekst dla „Roli”, bowiem mimo identyczności tematu, który zyskuje odmienne rozwiązania oba filmy obrazują ewolucję tego wątku w twórczości reżysera. I tu i tam ludzie starzy są obiektem młodzieńczej fascynacji. W klasycznym świecie agonia prowincjalca była dla młodego człowieka metafizycznym doświadcze-

nem i ustawiła jego dotychczasowe życie w nowo odkrytej perspektywie. W „Roli” ta szlachetność tonu znika bezpowrotnie. Wyrafinowana poezja okrutnie burzy wszelkie złudzenia na temat metafizycznych tęsknot młodości i głodu ludzkich uczuć. W „Roli” są one skłamane, przewrotne i interesowne. Także starość jest odpychająca. Doświadczenie ma smak gorzki, a ostatnie lata są wypełnione fałszem, zawiesia, egoizmem, fizycznym cierpieniem i samotnością. Jednakże to konstatacje, nawet jeżeli zostały w „Roli” wiarogodnie zilustrowane, nie wychodzą poza prawdy znane. Główną wartością tego filmu uważałbym w intelektualnych konsekwencjach, które w ostatniej instancji rykoszetem niejako uderzają w samą naturę filmowej iluzji.

„Rola” — to tytuł, który funkcjonuje w trzech znaczeniach. Po wizerunek Fausta przychodzi do ojca syn-aktor, który ma zagrać tę podwójną rolę w teatrze. Rolę czulego i kochającego syna odgrywa syn marnotrawny przed nieufnym ojcem. I wreszcie znaczenie trzecie — rola, a raczej aktorskie role, które odwarzają Jan Kreczmar i Daniel Olbrychski w tym filmie. Bowiem „Rola” Zanussiego poprzez podważanie prawdy ludzkich zachowań pyta o niezachwianą możliwość ich istnienia. Czy jest możliwa prawda ludzkiego wnętrza jeżeli nasze spojrzenia zatrzymują się na zewnętrzności, która konkretyzuje się w łatwym do imitacji geście, czynie, słowie, wyrazie twarzy? Jak zatem jest możliwe dotarcie do prawdy o człowieku w sztuce filmowej, która jest ewidentnym lgarstwem udającym prawdę? A czy ta prawda w ogóle istnieje? Zastanawiam się tylko, czy te pytania, ten trzeci sens tytułu i filmu był przez reżysera zamierzony, czy też doszedł się do jego utworu mimo chęci?

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAZKA

„WIERZĘ W KWIATÓW ZMARTWYCHWSTANE”

Mieczysław Michał Szargan doznał się bardzo niesprawiedliwie ocen swojego czwartego tomiku poetyckiego „Jablonkowe zebra”. Pewien młody recenzent te pozycje utalentowanego poety ledźkiego usadził na lamach „Noc Wyrzutu” pod rubryką „książek najgorszych”. Nieladnie, że nikt z łódzkich krytyków nie wziął Szargana w obronę.

Przy przeglądzie „Jablonkowych zebra” rzuca się od razu w oczy, że autor niektóre wiersze publikuje po raz drugi i nawet trzeci. Wdzieliśmy je w poprzednich tomach zbiorach. Powtórzony: „Ojciec”, „Krawcy z Brzezin” czy „Mój sad podobny” należą jednak do tekstów najlepszych, jakie napisał, stanowią one fakty bazy, na której stawiane usiłuje budować swojego mitu o świecie. Przebóg uprawiał podobną praktykę, w tego krainnych tomikach rol się od wierszy publikowanych wcześniej — czy ktoś z krytyków poetyzywał mu to za złe?

Poeta z rozpaczą obserwuje działalność „kulturową” człowieka z miasta i maszyn, dostarczając w niej ostre globalnej zarządy:

Boję się mojej ręki
moja ręka maczuga chwytyna
moja ręka schowek dla
moja ręka pięć gwóźdź
boję się mojej ręki
we śnie nie spuszczam
z niej oka...
(Ręka)

Na glinie czarnej krwi
dobijał sklerom maki
żal żal żal
Rzeźnikom ogrodów nie
ale świecące zęby
w jablonkowe zebra,
Już przyjdą
metylanowym promieniem
podniósł dom z betonu
(Dom z betonu)

duże na końcu straszliwy odwet ze strony natury?

Wśród wierszy Szargana, powstałych przede wszystkim pod wpływem przypominanych uroczych snów dziecięcych i marzeń, zatapiamy się i my w marzenia bezpowrotnie utraconym rajem na ziemi, który zabijał (i zabija) dziś bez ustanku wiecznie słodny tajemniczo poznania Adam i tworzymy się wciąż o los głodu, niezręcznego po bestialisku przez zabójcze czarne dymy i trucizny nowoczesnej galopującej jak apokaliptyczne konie, techniki.

JAN BOLESŁAW OZÓG

MAGAZYN

SŁOWIANIE W DĘBIE

Członkowie Filmowego Klubu Dyskusyjnego przy Wytwórni Kapeluszy Damskich ze Starych Męskich mądrz i radośnie podjęli s' wianą tradycję. Swoje wieczory dyskusyjne urządzają oni w dziupli sędziwego dębu, zwanego przez młodzież „Wapniakiem”. Na razie, ze względu na zdupłość pomieszczenia dyskusje odbywają się parami. A star „Wapniak” szumi radośnie, jakby mu lat ubyło!

PODZIĘKOWANIE PO ZASTANOWIENIU

Jak wynika z danych Głównego Urzędu Statystycznego, nikt nie ma szans na spotkanie w naszym kraju obywatela, który oświadczył, że znalazł Mikołaja

Koernika. To smutna prawda. Tym większą wymowę ma fakt, że dzięki filmowi, każdy absolutnie z nas mógł nawiązać bliski i intymny kontakt z tym Wielkim Człowiekiem. Po zastanowieniu się nad powyższym, jeszcze raz dziękujemy Twórcom filmu.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

SŁOWA SĄ TANSZE

Ze względu na oszczędność taśmy, w Stanach Zjednoczo-

nych lansuje się obecnie nowy typ reportera filmowego. Nie musi on już dźwigać niewygodnej i ciężkiej kamery filmowej. Taki nowy reporter filmowy przygląda się po prostu uważnie trzęsieniu ziemi czy zderzeniu pociągów, a potem wszystkim zainteresowanym opowiada o tym własnymi słowami.

JESZCZE JEDEN PRZEKONANY

Pan Joachim Skretny z Jaśniepaniem nie potrafił ani przez chwilę wysiedzieć przy telewizorze. Drażnił go program, gniewał adaptacje, smuciły programy rozrywkowe, nawet siostry Wiśniewskie go nie po-

ciągaly. Sarkał tak i marudził, aż raz wpadł pod tramwaj i złamał obie nogi. Teraz aż miło popatrzeć, jak cicho i grzecznie leży sobie, wpatrzony w mały ekranik. Czasem drobne na pozór zdarzenia mają ogromny wpływ na nasze horyzonty myślowe.

POMYSŁ NA WODZIE

Wytwórnia Sprzętu Pomocniczego im. Tych Co Przeżyli wyprodukowała prototyp nietopnącego sztucznego aktora. Wstępne próby na pełnym morzu wypadły nadszpedzanie pomyślnie. Pierwszy zatonął żywy aktor, a sztuczny jeszcze przez długą chwilę kołysał się na fali. 7- wzdględu na tempo prac wykończeniowych, prototyp przypomina na razie dętkę samochodową, wypełnioną powietrzem. Jednak z czasem, po drobnych zabiegach adaptacyjnych, zastąpił z powodzeniem mniej znanych aktorów telewizyjnych czy filmowych, którzy z uwagi na dolegliwości reumatyczne, nie mogą bezkarnie przebywać w środowisku wodnym.



Fot. E. Gray

POWIĘKSZENIA

„BARWY” O NAS

Mazowieckie „Barwy” były łaskawe zauważyć w „Odgłosach” dwa żartobliwe „kryminałki” Jana Gontala — „Prowincjalki bez jader” i „Samogwałt na przegubach”. Pisza „Barwy”, „oba tytuły korespondują z treścią enuncjacji precyzyjnie, natomiast wyraźnie nie wiążą się nam jakoś z podtytułem „Odgłosów” określającym ich profil”.
„Ano, coż robisz Nam również tytuł „Barw” mało koresponduje z treścią pisma. Zwłaszcza po przeczytaniu wierszyka pana B.
„Idziesz na bal, więc wkładasz smoking
Wyglądasz jak filmowy amant
A z biurka chytrym ciebie wzrokiem
Ktoś obserwuje. To kałamarn...”
Dobre! I kulturalnie i społecznie. Zupelnie jak w podtytuł „Barw”.

WITKACY

W repertuarze teatralnym publikowanym w informatorze „Kalejdoskop” czytamy: Stanisław Witkacy — „Szewcy”.
Bądźmy ścisli. Jeśli Witkacy, to bez imienia, bo to pseudonim. Jeśli jednak upieramy się przy imionach, należy podać oba — Stanisław Ignacy. Śład właśnie — z imienia Ignacy i nazwiska Witkiewicz wziął sobie nasz pisarz pseudonim.



Fot. M. A. Karewicz

„NO TO CO”

Grupa „NO TO CO”, która w 1967 roku przerzuciła pomost pomiędzy folklorem i muzyką młodzieżową, nadal cieszy się dużym powodzeniem nie tylko w kraju, ale i za granicą. W ubiegłym roku — poza występami na krajowych estradach — zespół odbył trzy-miesięczne tournée po Związku Radzieckim; koncertował także w Szwecji, a wrzesień członkowie grupy spędzili na Kubie. Ostatnio, po powrocie z występów w Finlandii, muzycy przygotowują nowy

program, z którym wyjadą m.in. do NRF, Skandynawii i — znowu — do ZSRR. W programie tym znajdują się kompozycje własne członków zespołu (głównie — J. Krzemińskiego) do tekstów K. Drzewieckiego, St. Halnego, J. Kondratowicza, J. Tomasa i G. Walczaka, oraz interesujące opracowania utworów zachodnich wykonawców. Grupa „NO TO CO”, której kierownikiem artystycznym-programowym jest Stanisław Cejrowski w nieco zmienionym składzie: Jerzy Krzemiński — voc., gitara, Jan Stefanek — multinstrumentalista, Bogdan Borkowski — gitara, voc., banjo, harm. usna, Aleksander Kawecki — perkusja, voc., gitara, Czesław Mogliński — gitara basowa, Edward Jugo — instrumenty perkusyjne, dokona w najbliższym czasie nagrań radiowych, a później prawdopodobnie ukaze się płytą z nowymi piosenkami tego sympatycznego łódzkiego zespołu.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JACQUES BOREL

UWIELBIENIE

Przez wiele miesięcy spędzaliśmy w ten sposób z Magdaleną całe godziny, a później z nastaniem wakacji i całe długie jak jedno szczęśliwe pasmo dni, leżąc na tym wąskim postumencie w Kafarnaum, z którego wieczorem wstawaliśmy zamroczeni, by znów paść sobie w ramiona. I myślę, że pomimo gwałtownych wstrząsów, jakie często przeżywałem z Anną, nigdy dotąd nie zaznałem, nie podejrzewałem nawet takiej fizycznej harmonii, takiego ukojenia, pełni, takiej miłosnej ekstazy. Ale było tak zapewne również dlatego, że chyba po raz pierwszy mogłem zaspokoić zmysły za zgodą serca i rozumu. Teraz bowiem znikło to rozdzielenie, które przy Annie i Genowefie nie tylko nie znikało, lecz, przeciwnie, jeszcze bardziej się pogłębiało. Przy Magdalenie odzyskiwałem wewnętrzną jedność i spokój, toteż nie mogłem się od niej oderwać i kiedy czulem ów lagodny skurek jej zwierających się mięśni, wydawało mi się, że także ona pragnie zatrzymać mnie i na zawsze w sobie uwieścić. I ledwie odsuwałem się od niej, czulem się znów wciągany w gorącą, topniejącą jak gdyby grę jej ciała, wchodziłem w nią i znowu przeżywałem obie ostry, a zarazem cudowny rozkosz, po której zapadał mi wroscie w złoławy mrok odrętwienia. Ale nawet skapany przy niej w tym mroku i ciepłe, zdawałem się czujny na obecność jej ciała, wylunione w moje ciało, na wspólny rytm naszych oddechów i znowu ogarniał mnie przypływ uwielbienia, który niustannie rzucał mnie ku niej, odkad pocałowaliśmy się pierwszy raz po spotkaniu na bulwarze Bourdon i odkad, zamknawszy za sobą drzwi Kafarnaum, pocałowaliśmy ów dziki łomot krwi w naszych żyłach.

Kochałem ciało Magdaleny, jak nie kochałem może nigdy żadnego ciała, ale też trzymając je w objęciach miałem uczucie, że biorę w po-

siadanie coś więcej, coś ważniejszego jeszcze niż ono samo, co jednak tylko w nim moge znaleźć i tylko poprzez nie posiadać. Promieniowała z niego ta organiczna niejaką ufnosć, która obdarzyła Magdalenę, odkad do mnie należała, ale która zaczęłam na pewno odczuwać, zanim ją jeszcze posiadałem, tak jak gdyby pełnioną mnie ku niej jakiejś głębokiej i też organicznej niemal przeczuć tej szczęśliwej pełni, jakiej miałem zaznać z nią, w niej i, aby tak rzec, za pośrednictwem jej ciała. Kochałem nawet wywołane przez tę ufnosć, przeniknięte nią i pogłębione przez nią pożądanie, jakie we mnie budziła, nawet tę zmysłowość, jaką we mnie wyzwała, z jaką mnie wewnętrznie pogodziła, przez to samo tym bardziej ją rozpalając.

Wszystko, co mi dawała Magdalena, stawało się oznaką tego zakorzenienia w życiu, tego ładu serca, jaki się we mnie dokonywał. Kochałem jej zapach, kochałem jej bieliznę. One także były dla mnie dowodami i gwarancjami. One także zdawały się zawierać w sobie i wyrażać jakąś jej zasadniczą treść, coś, co miało związek z najgłębszymi cechami jej istoty, może właśnie tej niewinności, tej szczerości, które obudziły we mnie uczucie i sprawiły, że po raz pierwszy przestałem rozróżniać, co w miłości jest samym tylko pożądanym, a co ma głębsze podłoże, jak gdyby tym razem żądza siała się mową oczarowanej duszy, która chce wyrazić swe uniesienie i głęboki zachwyt, musiała wcielić się w te ruchy naszych ciał, stopić się z nimi w jedno, wraz z nimi wznosić się do utraty tehu na tej samej falli.

Jestem znowu w Kafarnaum. Przyprawdzam tam z sobą Magdalenę. Wycham ten sam co ongiś zapach, równocześnie świeży i ciepły, lekki i uporeczywy, czysty i jak gdyby przyjazny, który również wydawał mi się jakas jej cząstkę. Nasuwają się ciągle te same słowa, ale wydaje mi się, że doprawdy nie ma na to innych. Jak ona sama, jak sama nawet nasza miłość, zapach ciała Magdaleny zdawał się niewinny, żywy i lagodny, tak iż wdychając go nie tylko nozdrzami, lecz z ustami, wszystkimi porami ciała, zdawałem się też chłonąć wyczuwalne nagłe, dotykane niemal piękno naszej miłości i jak gdyby tajemne piękno natury samej Magdaleny. I z każdym razem, przepojony tym samym zapachem, przeżywałem nie tylko to samo co pierwszego dnia wzruszenie: ten zapach, to wzruszenie umieniały też we mnie te same głęboką i promienną pewność.

Także widok bielizny, jaką nosiła Magdalena, pełnej w moich oczach tego samego wdzięku, czystej i niewinnej, wzmagal jeszcze poczucie pewności i zachwyt, jaki we mnie budziła. Magdalena nie używała tak jak inne kobiety, bielizny jedwabnej czy nylonowej, lecz z białego płótna, z wazłukami wypustkami z angielskiej koronki, czy po-

stwu z haftem. Pamiętam jeszcze pełne zachwytu zdziwienie, w jakie wprawiła mnie dziewczęca i rzekomy, trochę prowincjonalna prostota tej bielizny. To białe płótno kojarzyło mi się może podświadomie z jakimś wrazeniem zachowanym z ukochanego Mazera wysnutym ni to ze wspomnień, ni to z dawnych marzeń, z jakąś pierwotną niewinnością, słowem, z poezją. Na pewno nie uświadamiałem sobie tego tak jasno, a jednak Magdalena poruszała we mnie najgłębsze struny, zaspokajała najgłębsze moje pragnienia. Wiodła mnie z powrotem w ów świat, z którego nigdy może nie odszedłem, nawet w chwilach, gdy czulem się od niego jak najbardziej oddalony, czy nawet wówczas gdy sądziłem, że jestem od niego na zawsze odcieły, równocześnie jednak ona sama w ten świat wrastała.

Widzę dziś wyraźnie, jak bardzo wszystko mnie z nią coraz to silniej wiązało. Każda jej reakcja była zgodna z tym, co pragnąłem znaleźć u ukochanej kobiety. Za pierwszym razem kiedy ją wzięłem, a także później, chciałem się cofnąć w porę w obawie, aby nie zaszła w ciążę, ona jednak przycisnęła wówczas moje biodra i powstrzymała mnie. Nie szeptala przy tym z hamowaną namietnością, jak nieraz później: „Nie, zostań! — albo: — Nie, nie, chcę czuć, że jesteś szczęśliwy!” — wyczuwałem w niej jednak chyba nie wyrzut, którego nie śmiałyby wypowiedzieć, ale jak gdyby żal, a równocześnie potajemny ból i coś nieomal jak zakoszenie. Ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że to z jej strony nieostrożność, a tym bardziej wyrachowanie, zbył było bowiem oczywiste, że naturze Magdaleny wszelkie wyrachowanie jest obce. Przeciwnie, nie nie wrzucało mnie bardziej niż ów delikatny, ale stanowczy ruch, jakim znów mnie przycisnęła, i ten długi uścisł, to wibrowanie jej ciała, gdy znowu zwarło się z moim i gdy poczuła, że się w niej zatracam. Nie też nie miało mnie głębiej wstrząsnąć i mocniej z nią związać niż ów pierwszy raz, gdy kryjąc nagle głowę na moim ramieniu wyszeptala: „Chcę czuć się szczęśliwa równocześnie z tobą, chcę czuć, że w tej samej chwili żyjesz i pulsujesz z głębi mojego ciała”.

(Fragment)

Przełożyła: ZOFIA JAREMKA-PYTOWSKA

Jacques Borel, urodzony w 1925 r. w Paryżu zadebiutował powieścią „Uwielbienie”, za którą otrzymał nagrodę Goncourtów w 1965 roku.

KONFEKCJA • DZIEWIARSTWO • TKANINY

WIELKA OBNIŻKA CEN ARTYKUŁÓW SEZONOWYCH



W SKLEPACH ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA TEKSTYLNO-ODZIEŻOWEGO
ADRESY — ul. Piotrkowska nr nr 5, 14, 15, 46, 78, 81, 87, 122, ul. Dąbrowskiego 93, Dom Handlowy „TEOFIL”, ul. Aleksandrowska 38.



LPTO zaprasza również na specjalne kiermasze zorganizowane w sklepach przy ul. Piotrkowskiej 238, Traugutta 2 i pl. Wolności 3

OKAZJA • OKAZJA • OKAZJA

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 996. C-4. Nr indeksu 37006